

Wyd. br. Marynowski

PRZEGLĄD LWOWSKI.

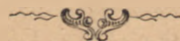
Pismo dwutygodniowe
poświęcone sprawom
religijnym, naukowym, literackim i politycznym.

ROK PIERWSZY.

15. Września 1871.

Poszyt ósmnasty.

(Fide ac veritate.)



Spis rzeczy:

- | | |
|---|--|
| 1. Listy O. Hieronima Kaysiewiczza z drugiej podróży zaatlantycznej. Do braci i przyjaciół — list pierwszy. | 7. Księża i teologowie Dziennika polskiego. |
| 2. O metodzie scholastycznej. (C. d.) X. Z. G. | 8. Kronika: |
| 3. Karta wspomnień. Berlicza Sasa. (dokoń.) | I. Sąd wojenny w Wersalu. |
| 4. Czy Jezuici zgubili Polskę? (C. d.) | II. Z Rzymu i świata katolickiego. |
| 5. Wychowanie i wykształcenie niewiast i dzieło pani A. D. | III. Przegląd polski wobec Gazety narodowej. |
| 6. Oberammergau. | IV. Pan Kraszewski zpod „Strzechy.” |
| | V. Gazeta literacka na urlopie. |
| | VI. Tygodnik Wielkopolski i jego zasada. |
| | VII. Dr. Laforet a Dr. Zgórski. |
| | VIII. Starożytność człowieka. |

L W Ó W.
NAKŁADEM REDAKCYI.
Z Drukarni Karola Budweisera.
1871.

Rozpoczętą w zeszycie dziesiątym historyczną rozprawę p. t.

CZY JEZUICI ZGUBILI POLSKĘ?

będziemy bez przerwy zamieszczać w następnych numerach.

I. Opinia publiczna i Jezuici. — Kto są Jezuici. — Czy instytut uległ jakiej zmianie. — Summa czyli treść instytutu — Rząd Jezuitów jest-li desp. tyt. — Ślepe posłuszeństwo i kosmopolityzm zakonu. — Cele i widoki. — Zarzuty wzajemnego szpiegowania, zwolniającej nauki moralnej, niedozwolonego handlu królobójstwa.

II. Dla czego Jezuici zajmują się edukacją młodzieży. — Godwójne zadanie edukacji jezuickiej. — Jak zakon kształcił profesorów i nauczycieli. — Antynarodowość systemu jezuickiego. — Dzisiejszy system preparand nauczycielskich. — Skład szkół jezuickich. — Profesorowie, i przedmioty w nich wykładane. — Dla czego uczono tyle łaciny. — Klasyce w szkołach dzisiejszych i jezuickich. — Zarzuty względem zaniedbania historii literatury i umiejętności ścisłych. — Kilka uwag nad nowym systemem naukowym (pruskim). — Scholastycezm i Jezuici. — Prace naukowe Jezuitów. — Strona moralna edukacji jezuickiej. — Emulacja, koncertacye i kongregacye. — Popisy, dyalogi, sądy, prawne dysputy. — Zarzuty bigoterii, szpiegowania i kar cielesnych.

III. Przyczyny upadku Polski. — Pierwiastki demoralizujące w narodzie jeszcze przed wstąpieniem Jezuitów na ziemię polską. — Czy Jezuici mogli przeszkodzić rozwojowi tych pierwiastków. — Władysław IV i Jezuici. — Demoralizacya narodu przez Jezuitów — Zarzuty księcia Adama Czartoryskiego i odpowiedź na nie — Panegiryki jezuickie pod względem moralnym — Zaslugi Jezuitów na polu moralności religijnej.

IV. Uwagi nad okresem piątym literatury polskiej czyli nad epoką jezuicką. — Kłótnia Jezuitów z Akademią krakowską czy może stanowić epokę — Odkąd datuje się upadek Akademii krak. i przyczyny jej upadku — Akademia Wileńska i Stefan Batory — Spór z akademią krakowską i Jezuitami o Szkołę poznańską. — Historia kłótni akademii krak. z Jezuitami — Otwarcie i zamknięcie akademii lwowskiej — Przyczyny upadku literatury w XVII i XVIII wieku — Anachronizmy w sądach i krytyce literatów naszych — Jezuici i oświata na Litwie — Florydacyzm i jego przyczyny — Makaronizmy — Literatura XVII i XVIII wieku nie ma jeszcze dotąd swojej historii.

V. Wpływy Jezuitów na politykę królów i państw. — Jezuici spowiednicy panujących. — Czy Jezuici mieli jaki udział w polityce Rzeczypospolitej. — Possewin i wojny moskiewskie króla Batorego. — Jezuici i Zygmunt III. — Uwagi nad Zygmuntem III. — Jezuici w sprawie Dymitrów Samozwańców. — Polityka króla Sobieskiego. — O. Wota i król Jan. — Zaslugi polityczne Jezuitów w Polsce.

VI. Nietolerancya i fanatyzm Jezuitów. — Czy w Polsce były kiedy jakie prześladowania religijne. — Zygmunt III i różnowiercy. — Władysław IV i nietolerancya narodowa. — Jan Kazimierz i wypędzenie Aryanów. — Fanatyzm narodowy. — Złąk pobożność Polaków XVII wieku. — Spalenie ateusza. — Sprawa toruńska. — Uchwały sejmów z lat 1717, 1733, 1736 — 1766. — Koszackie wojny czy były owocem nietolerancyi i fanatyzmu jezuickiego.

P. HIERONIMA KAYSIEWICZA
LISTY
Z DRUGIEJ PODRÓŻY AMERYKAŃSKIEJ
DO BRACI I PRZYJACIÓŁ.

L i s t I.

New-York, 7 czerwca 1871 r.

Najdrożsi moi!

Otrzymałem jedną naukę więcej, by nie układać planów na-
przód i nie przesądzać przyszłości. Opuszczając lat temu sześć
Amerykę, zapewniałem i domowych i obcych, że już do niej nie
wrócę; tymczasem wypadło wrocić — i wróciłem, a to z następu-
jących powodów:

Reguła nasza wymaga, aby bracia nasi, pracujący na mis-
syach i po parafiach nawet, mieszkali po trzech przynajmniej, tj.
dwóch kapłanów i braciszek; a to, aby mogli prowadzić życie
wspólne, i tośmy zawsze biskupom żądającym naszych kapłanów
oświadczeni. Tymczasem doświadczenie nauczyło nas, że niektórzy
z nich (w dobrej wierze niewątpliwie) postępują z przełożonymi Zgro-
madzeń jak kawalerowie zalecający się posażnym pannom. Obiecują
im złote góry i miłość dozgonną; ale po ślubie nieraz rzeczy się
inaczej pokazują. Na nie jednej parafii, gdzie trzech miało się
wygodnie utrzymać, ledwo jeden kapłan wyżyć może i długie lata
mieszka odosobniony, jakoby kapłan świecki; wydobyć ich z takiego
położenia, świętym dla nas obowiązkiem.

Brakowało też dotychczas misyom naszym amerykańskiemu domu
centralnego, dość obszernego i zasobnego, aby młodzież wstępująca
w Ameryce do Zgromadzenia, mogła być tamże na miejscu wycho-
wywaną. Otworzyliśmy wprawdzie mały zakład naukowy w Berlinie
kanadyjskim; ale że to prowincya kolonizująca się jeszcze, o lu-

dności nielicznej i względnie biednej, dbającej jedynie o wychowanie techniczne młodzieży — zakład ten nie może być czem innym, jak szkołą realną.

W takim stanie rzeczy, Mgr. Mac-Closkey, brat ks. arcybiskupa Nowego-Yorku, przed kilku laty pierwszy rektor seminaryum północno-amerykańskiego w Rzymie, później oficyał brata swego (gdziem go zaznał lat temu sześć), obecnie biskup Louisville'ski w Stanie Kentucky; ofiarował Zgromadzeniu naszemu budynki kollegialne na 150 uczniów, z przyległemi ogrodami w miejscowości St.-Mary położone, pod warunkiem otworzenia tam napowrót klas gimnazjalnych, choćby zrazu tylko kilku niższych. Współcześnie ks. biskup w Chicago, wielkiem handlownem mieście, w którem, i okolicach jego mieszka do 800 rodzin polskich, ofiarował nam tę parafię polską, zdolną niewątpliwie utrzymać trzech misyonarzy, którą objął tymczasowo ks. Adolf Bakanowski, były przełożony missyi naszej w Texas. Trzeba będzie zatem pościagać z parafij pojedynczo mieszkających naszych kapłanów, przekazując je, o ile się da, księżom świeckim; trzeba będzie negocyować z biskupami, aby się wszystko polubownie odbyło; że zaś podejmowałem ich po dwakroć gościna w domu naszym w Rzymie, sędzę, że łatwiej mi przyjdzie sprawę tę przeprowadzić, niż kapłanom naszym młodszym, pod ich laską pasterską pracującym. Ufam też Bogu, że obecność moja posłuży do założenia na dobrych podstawach nowego kollegium w Kentucky i zapewnienia przez to przyszłości missyom naszym w Ameryce; przeto po modlitwie i za zgodą braci radnych, podjąłem tę podróż, po otrzymaniu osobnego błogosławieństwa ku temu od Ojca świętego. Żal mi odjeżdżać braci rzymskich w tak niewesołem ich położeniu; ale że mam wrócić w jesieni, sędzę, że przybędę jeszcze na czas podzielać wraz z nimi najcięższe przejścia, a tymczasem dzięki Bogu dobrze jestem zastąpiony.

Pomimo pośpiechu, zaledwie 6go maja zdołałem wydostać się z Rzymu, w sześć lat okrągłych od pierwszej mojej podróży do Ameryki. Zatrzymałem się przez dzień we Florencyi dla odwiedzenia zacnego i znakomitego rodaka dość ciężką dotkniętego chorobą; ale da Bóg, nie groźną ostatecznie. Patrząc na Florencyą, nawet z punktu jedności centralnej Włoch, każdy nienamiętny musi przyznać, że to miasto daleko z wielu miar stosowniejsze jest na stolicę od Rzymu, — ale sekty chciały upokorzyć Kościół w papieżtwie, a republikanie wiedzą, że monarchia świecka nie ma korzeni w świętem mieście, i że imię republiki rzymskiej dość jest

wielkie, by pocieszyć po utracie monarchii włoskiej. Zobaczymy, jak długo i ona pożyje, jeżeli się urodzi.

Dziwno, że pożegnałem się z Włochami, odwiedzając ciała czterech świętych zachowanych od skażenia: w Rzymie zwłoki św. Piusa V; we Florencyi św. Magdaleny de Pazzis, i błosławionej Bagnesi, obu karmelitek; w Genui nareszcie św. Katarzyny genueńskiej. Ta ostatnia święta, znana mi już niejako od lat 30, bo ilem razy przez Genuę przejeżdżał, zawszem ją odwiedzał w szpitalu Pamatone. Przed laty 20 święta siedziała jeszcze w krześle z poręczami, w tej samej postawie, w jakiej oddała była czystego ducha Bogu przed czterema wiekami. Obecnie spoczywa w szklanej trumnie: szkoda, bo dawniej żywiej jeszcze przemawiał do duszy widok tryumfu świętości nad śmiercią samą. Byłem przy jej ołtarzu w pierwszy dzień oktawy jej święta, w dzień powszedni, a przecież przy trzech Mszach kompanie były bardzo liczne; cóż to być musiało dnia poprzedniego w dzień jej uroczysty i w niedzielę. A jednak Genua jest narodem arcykupieckim, widno, że umie połączyć nabożeństwo z pracowitością i przemysłem. Pod naciskiem systematycznej propagandy bezbożności duch religijny wzmaga się w większej części ludności. We Florencyi dawniej tak apatycznej, widzisz dziś tylu mężczyzn, wszelkiej klasy społecznej i wieku co niewiast w kościele. Nie mówię już o Rzymie, gdzie nabożeństwo jest zarazem demonstracją za papieżem. Za to mniejszość, mianowicie młodzież po szkołach rządowych, psuje się coraz bardziej: i następuje już we Włoszech, jak gdzieindziej, w krajach, w których nowożytne zasady zapanowały, rozdział na prawo i na lewo, przygotowanie i wzór tego na ziemi, co będzie na sądzie ostatecznym.

Co mnie też uderzyło we Włoszech, to, że ludzie po wagonach milczą, widocznie nie dowierzają sobie; a inaczej bywało w krajach pod dawnymi rządami. Od czasów odrodzenia, wolności, zjednoczenia, ludzie stali się sobie obcymi, swoboda dawnych czasów zacołanych znikła: na jedno się tylko wszyscy Włosi zgadzają, że podatki są nieznośne, i że takie rządy muszą się zakończyć powszechnem bankructwem. A jednak są po dziś dzień Polacy i myślący nawet, którzy są za tą jednością przymusową Włoch terytoryalnie i historycznie federacyjnych; i przyrównują na opak Włochy do Polski, dobrowolnie i historycznie jednej, a przymusowo podzielonej. Taka jest siła złego dziennikarswa odurzająca najzdrowsze głowy. Ufam jednak, że fakta i to nie długo, zadadzą kłam oczywisty fałszywym teoryom. Z tą nadzieją zegnam Włochy.

W Genui trzeba było w biurze statku płynącego do Nizy złożyć paszport: rodowici Francuzi nie są wyjęci od tej niezbędnej formalności. Na statku pytałem marsylskiego kupca, jak mogła się u nich udać powtórna rewolucya. „Co chcesz panie, rzekł, prefekt kazał bębnić na zebranie się gwardyi narodowej; domyślaliśmy się że chce demonstracyi na korzyść Wersalu, (a trzeba pamiętać, że kupiectwo francuzkie ma sobie za obowiązek być w opozycyi przeciwko wszelkiemu rządowi, dopóki hołota nie dobiera się do sklepów, wtenczas krzyczy na rząd, że nie broni porządku i bezpieczeństwa). „Otóż, mówił dalej mój kupiec, prefekt kazał bębnić o 8 zrana, a że handel zaczął znowu iść raźnie po długiej przerwie, każdy z nas wołał śpieszyć do sklepu wetować poniesione straty, niż iść na musztrę. Nikt zatem z zamożniejszych się nie stawił. Generał widząc to, opuścił z wojskiem miasto. Zebrało się kilkuset urwiszów, którzy podburzeni przez emissaryuszów, w znacznej większości obcych miastu i Francyi, poszli zająć prefekturę, i prefekta aresztowali. Wtenczas wrócił z posiłkami generał i nas rozbroił.“ Podobnie i gwardya narodowa paryzka chciała dać naukę rządowi; widzimy jak za to Francya cała musiała zapłacić. Gdyby jednak tym powiedzieć: widzicie, że to instytucya nicpotem, że ona nie jedną rewolucyą wywołała, innym konniwencyą dopomogła, żadnej nie stłumiła; że ją przeto nie zreorganizować, ale znieść trzeba, niezmiernieby się oburzyli, bo to właściwe ludziom obecnym bez zasad, dla których słabość jest dobrocią, sprawiedliwość okrucieństwem, loika fanatyzmem, by żadnej rany społecznej rdzennie nie leczyć, tylko kataplazmami rozmaitych sposobików i wybiegów politycznych okładać. Nie, nie można po amatorsku być żołnierzem lub stróżem porządku; trzeba każdemu z tych zawodów całkowicie się oddać! Niech municypalności mają swoich strażników, niech dążą wszędzie do posiadania konstablów anglo-amerykańskich; ale niech się kupcy nie bawią w żołnierza! Dziwna, przykrzą się im służby i warty, trzeba wciąż karać niestawiających się, a jednak dbają o tę instytucyę, bo tak im jak ich połowicom, podobają się szlify do paradowania. *Nitimur in vetita*. Nie dziwiłbym się, aby wojsko, zmuszone w strumieniach krwi swojej gasić rewolucyę wywołane lub przypuszczane przez gwardyę narodową — nie zaprotestowało formalnie przeciw tej niezdrowej instytucyi; coś podobnego stałoby się, zdaje się, po zdobyciu Paryża. Jedną ze mrzonek nowożytnych, jest nadzieja i chęć zastąpienia wojsk stałych przez gwardye narodowe. Wiemy ile warte ruchawki bez karności, instrukcyi specjalnej, i dobranych oficerów.

Powołują się niektórzy na milicje szwajcarskie, ale nie pamiętają o jednej rzeczy, że do najnowszych czasów, pułki całe Szwajcarów zaciągały się do służby zagranicznej, dawniej we Francyi, później w Rzymie i Neapolu, którzy po wysłużeniu pewnej liczby lat za granicą do kraju wracali, tak że były kadry doświadczonych oficerów i żołnierzy. Dziś to już ustało, i choć zostały zasoby z przeszłości, nie wiem czyby te milicje dotrzymały kroku, w obec wojsk prusko-niemieckich. Może i na to patrzeć się będziemy. Ale wracam do mojej podróży.

W Hyeres pod Tulonem pomodliłem się na grobach śp. Daryuszostwa Poniatowskich łaskawych na nas za życia, a w Touwen pod Châteauroux na grobie ś. p. Amadeusza Thayer, senatora Francyi, dobrodzieja naszego zgromadzenia. Dziwnie jak wojna z Prusakami i rewolucya paryzka zachwiała majątkami we Francyi. Wdowa po ś. p. senatorze posiada 120,000 fr. rocznego dochodu w domach i panoramach (albo *passages*) paryskich. Otóż obecnie żyje z pożyczonego grosza, bo od 9 miesięcy nie miała już szeląga dochodu, a gdyby (dodała) granaty spaliły tę część miasta, w której posiadam wspomniane budowle, zostałabym z tym kawałkiem ziemi, niezdolnym utrzymać domu, i zakładów miłosiernych w nim założonych. Zdaje się, że Bóg nie dopuścił tej klęski, i że sieroty i starce nie zostaną opuszczone“. Szlachta posiadając miliony w ziemi, w tych częściach Francyi, w których grasowała wojna, musi zaciągać pożyczki w Londynie lub Brukseli (gdzie się wyniosły kapitały paryzkie), bo dzierżawcy nie płacą, zrujnowani rekwizycjami.

Od Marsylii do Wersalu wielki jeszcze nieporządek na drogach żelaznych; odbicie rozstroju duchowego w umysłach i sercach. Pociągi zapełnione to mobilami wracającymi z Algieru i wysłużonymi urlopnikami, to wojskiem spieszącem ich zastąpić, to nareszcie jeńcami paryzkimi eskortowanymi przez zandarmów. Wystąpieni żołnierze mówili mi, że teraz nie warto już bić się w Algierze, bo dawniej kiedyśmy zdobyli jakie miasto, to nam oficerowie pozwalali brać co nam się podobało, a dziś sami wszystko zabierają. Może oni spotwarzają oficerów, ale widoczna, że już samej chwały nie dosyć Francuzom, i że nie sami Niemcy tylko lubią rabunek. To pewna, że Algier zrujnował wojsko francuzkie; odczył ich wielkiej umiejętnej wojny, czujności po obozach, a nauczył natomiast rabunku, niekarności i rozwinął w niem niezmiernie rozwiozłość obyczajów.

Zapomniałem powiedzieć, że otrzymałem w Touvent list od księdza Witkowskiego z Paryża z dopisem ks. Jełowickiego, który tu zamieszczam:

Paryż, d. 4 maja 1871 r.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Po odebraniu listu Ojca, który mię doszedł w kilka dni po przyjeździe do Paryża, otrzymałem wieść pewną przez Siostrę Maryą (Siostrę Miłosierdzia) od Ojca ukochanego, bym sobie tu radził jak uznam za najstosowniejsze. Otóż Ojciec mój drogi, Paryża, tj. ambulansu żadną miarą opuścić nie mogę właśnie w tej chwili niebezpiecznej, gdy kilku dziennie umiera, a których się zyskuje dla nieba. Położenie moje jest bardzo trudne, ale też pełne zasług, bo pracuję wśród niebezpieczeństwa. Gdybym dziś ambulans opuścił, upadłby zupełnie, bo wszyscy w nich na mnie zwracają oczy i wszyscy mnie się boją. Jakkolwiek Komuna wypędziła Siostry Miłosierdzia (które właśnie O. Witkowski był tam wprowadził), zniszczyła wszystkie oznaki religijne, mnie jednak zostawiła kaplicę i wolność religijną. (Chciała zrazu i jego wypędzić, ale sami ranni komuniści protestowali przeciw temu i wymogli że go pozostawiono). Czy szał jest prawdziwy czy fałszywy, to mniejsza; lecz są prawdziwe dusze do zbawienia i to w chwili wielkiego niebezpieczeństwa. Jeżeli ja ambulans opuszczę, wtenczas innemu księdzu nie pozwolą wejść do niego; a tymczasem wszystkie biedne dusze, które umrą bez pomocy duchownej, ciężyc będą na sumieniu naszym. Jednem słowem, niepodobna opuszczać stanowiska, na którym mnie Pan Bóg zostawił. Położenie moje jest może jedno z najważniejszych w Paryżu, i w opozycji najzupełniejszej z owymi waryatami czerwonymi naszej narodowości, których mamy tu dosyć, a którzy się nawracają. Postaram się być temi dniami w Wersalu, lecz tylko na dzień jeden, bo inaczej mi uczynić niepodobna... Byłem temi dniami u ks. Buquet, niewidomego biskupa sufragana, albo koadjutora ks. arcybiskupa, prosił mnie i zaklinał, bym miejsca mego nie opuszczał; toż samo potwierdzają księża wikaryusze, którym w tej chwili usługę oddaje. Ksiądz Jełowicki dodał co następuje od siebie: „Posyłam kopię listu O. Władysława, może bowiem pierwsza kopia nie zastała Ojca już w Rzymie. Był tu wczoraj malarz Zaleski z drugim Polakiem, tylko co byli widzieli O. Władysława najbezpieczniej sobie poczynającego. Mieszka przy kaplicy w ambulansie, do którego wchodzi kiedy chce, a od dni kilku panowie rządcy zapraszają go do swego stołu; tak wszystkich sobie zjednął. Żadne więc mu

niebezpieczeństwo nie grozi, choć był gotów na nie. Od początku tej komunistycznej wojny, po kilku i kilkunastu dniennie w jego ambulansie umiera, a dotąd tylko czterech bez Sakramentów umarło, i to dla tego, że umarli zanim się wytrzeźwili. Więc go upoważniłem do zostania, według roztropności, *usque ad revocationem*, a na powitanie Ojca do Wersalu przyjedzie. Proszę nam donieść o dniu przyjazdu. Napisałem by się nie ruszał z Paryża, choć mnie kosztowało pozbawić się pociechy uściskania takiego syna, ale przy rosnącym zajątrzeniu i podejrzliwości obustronnej mógł się tylko zachować od śmierci nie ruszając się z miejsca; jak się też za łaską Bożą stało, bo ambulans ten na polach Elizejskich za pałacem kryształowym położony, rychło po wejściu wojsk do Paryża musiał być zajęty i od panowania komuny wyzwolony.

Tu mi się nastęrcza uwaga: kilkudziesięciu księży sprzymierzonych przez lat tyle pragnęło odebrać nam missyę paryżką, tymczasem podczas podwójnego oblężenia i bombardowania Paryża, nie było o nich słyhać, a ci których chciano wyrzucić, dotrwali na zajętem stanowisku.

W miarę jak zbliżałem się ku Paryżowi, ostrożności policyjne coraz były surowsze. Wszakże dzięki sutannie i siwym moim włosom zwykle mnie nie tykano, powiadając: *Mr. le curé ne va pas pour sûr à Paris*, później jednak tak nie było, odkąd hersztowie komunistów zaczęli uciekać z Paryża, najrozmaiciej przebrani. Nie jednego aresztowano. Widać było coraz częstsze ślady zniszczenia na stacyach kolei żelaznych z czasów wojny jeszcze i napisy niemieckie na domach. Od Juvisy czuć już było bliskość obozu. Adju-tanci, ordynansy, pędzą cwałem tam i napowrót, ciągną sznurem, działa, jaszczyki i furgony z żywnością. Dnia 17 Maja wieczorem stanąłem w Wersalu i zamieszkałem u gościnnego księdza kanonika Szrajtera kapelana panien Wizytek, a po chwili z wielką pociechą ducha uściskałem kochanego O. Aleksandra, którego nakazem wypędziłem z Paryża wraz po zawieszeniu broni. I wielki był czas, bo zaledwo przybył do Wersalu rzuciła mu się krew z piersi, w skutek wycieńczenia i niewygód podczas oblężenia i dawnej choroby gardłowej. Szanowny dr. Gałęzowski pozwala jednak powolnej podróży i posyła do wód.

Ze siostr Wileńskich Nawiedzenia Najświętszej Panny, kilka znowu ubyło od czasu ostatniego mego pobytu w Wersalu, a mianowicie ostatnia przełożona Matka Balińska, którą zastąpiła Matka Jelska. Przez cały czas wojny i dotychczas przeżywił Bóg cudownie

ślugi swoje. Pocziwa wiara z Poznańskiego przynosiła im nawet jałmużnę, ach! bo lud nasz pocziwy kocha tak i wielbi „święte panienki“ Życie to sióstr wersalskich, oparte na ostrzu codziennej Opatrzności, tworząc nowe między nami podobieństwo, droższymi nam je jeszcze czyni.

Odwiedziłem izbę. Już to samo, że posiedzenia jej tak w Bordeaux jak tutaj odbywają się w teatrze, przykre czyni wrażenie. Mniej przykre zapewne niż saturnalia komunistyczne po sprofanowanych kościołach paryzkich, ale zawsze to ni wesołe, ni poważne. Nie śniło się pewno Ludwikowi XIV który i Stanów generalnych ścierpieć nie chciał, że izba republikańska (z imienia przy najmniej) będzie obradowała nad zapłaceniem haraczu Prusakom, (należącym wtenczas do rebulosów politycznych) w tem samem miejscu, gdzie on siebie adorował ubóstwiany przez pudrowanych dworaków płci obojej. *Sic fata mutantur.*

Wielkie w tej izbie wersalskiej, jak w kraju, który przedstawia, rozszyście duchowe, wielkie rozjątrzenie zobopólne, bo położenie fałszywe. Izba w dwóch trzecich jest monarchiczną, a musi odzywać się i działać w imieniu republiki. Monarchiści podzieleni na legitymistów, orleanistów i nieco bonapartyistów, republikanie znowu na czerwonych albo skrajnych, i umiarkowanych republikanów nie tak z upodobania jak z przekonania, że to złe mniejsze. Na tej ostatniej frakcyi opiera się głównie Thiers, ale tak długo trwać nie może. Śliczny list, manifest Henryka V, w skutek poddania się mu hrabiego Paryża jako głowie rodziny, jednoczy dwie główne frakcye monarchiczne. Francuzi pragnący pokoju i bezpieczeństwa widzą jasno i wyznają, że niema dla nich innego wyjścia nad powrót Bourbonów, choć ze stratą wolności pracowania w niedziele i innych podobnych wolności. Jeden z wieśniaków z okolic Paryża, adoratorów słońca, bo innego bóstwa nie znają, odezwał się: *eh bien, nous irons à la Messe, si on ne peut pas faire autrement, mais au moins nous serons tranquilles.* Wszakże część orleanistów odcienia książąt d'Aumale i Joinville, działających dotychczas na własną rękę i schlebiających wielkim zasadam 1789 roku, przyłączy się zapewne do republikanów umiarkowanych, i może po części bonapartyści, jak skoro zwątpią o możności przywrócenia na teraz na tron panów swoich. W każdym razie będzie to zawsze miejsczość izby, choćby kompletujące wybory dostarczyły jej z miast, sporego kontyngensu. Na tej mniejszości opiera się i opierać myśli Thiers i trzyma się tem tylko, że niema kim go na ra-

nie zastąpić, nie ma człowieka, któryby posiadał w równym stopniu rutynę rządową, a miał lepsze od niego zasady.

Na razie słusznie on mówi, że Rzeczpospolita najmniej jeszcze Francuzów dzieli, ale z drugiej strony prawdą jest, że stan taki przechodni nie daje pokoju ni bezpieczeństwa. Kompromis stronnictw na strachu oparty długo trwać nie może, walkę i rozstrzygnięcie odwlec można, nie można ich uchylić. Przy objęciu władzy, pozornie słuszny niby postawił program, że chce Francją uporządkować a izba obecna uchwaliwszy nowe prawo elektoralne, ustąpi miejsca konstytuancie. Tu postęp. Bo dla czegoż izba, w podwójnym komplecie, jak zwykle konstytuanty wybrana, nią być nie ma? Alboż wybraną została z mandatem ograniczonym? Nie. Nigdzie nie było powiedziane, że ma tylko pokój z Prusakami zatwierdzić. Wybraną została głównie, aby nową władzę legalną stworzyła i kraj zbawiła. Jeżeli nie jest konstytuantą to by jej można zaprzeczyć prawa stanowienia nowej ustawy wyborczej i obcinania głosowania powszechnego, które Napoleon III wprowadził ostatecznie do prawa publicznego Francji. Czy izba przyszła, wybrana przez część narodu, większą będzie miała powagę wobec Francuzów wierzących jeszcze w głosowanie powszechne, od izby obecnej? Szczęściem, że deputowani republikańscy, niecierpliwi, a może bojący się powrotu Napoleonidów, podali projekt do uchwały, że Rzeczpospolita jest stałą formą rządu dla Francji, i tem samym uznali izbę obecną za konstytuantę. Bardzo to nie na rękę Thiersowi, który izbę obecną znajduje zbyt ruralną i klerykalną. Nie trzeba jednak brać tej nazwy zbyt ściśle. Opatrznie się wprawdzie stało, że naród francuzki ostateczną zagrożony zagładą, nie patrząc, już jakich kto opinij politycznych, szukając tylko ludzi prawych, wybrał tem samem większość ludzi religijnych, choć bardzo nieśmiało religijnych. Wyobrażenia nowożytne, że religia jest rzeczą sumienia, stosunkiem prywatnym tylko duszy z Bogiem, nie zaś rzeczą wiary publicznej narodów, tak weszły głęboko do umysłów, że gdy w Bordeaux przed otwarciem izby, deputowany jeden po raz pierwszy wybrany, odezwał się z pomysłem zaczęcia obrad ode Mszy do Ducha świętego, zakrzyczany został przez kolegów swoich. A jednak z dawnych czasów pozostał we Francji samej zwyczaj otwierania szkół i trybunałów Mszą do Ducha świętego. Widzieliśmy następnie z jaką trudnością przeszła świeżo w Wersalu uchwała izby, żądająca publicznych modłów za Francją. Dla Thiersa to już za wiele. Nie głosował on, nie głosowali Favre, Picard i Jules Simon otwarty

niechrześcianin, niefortunni przedstawiciele republiki 4 września, których Thiers upornie zatrzymuje (świeżo, ledwo że najlepszego jeszcze z nich, Picarda poświęcił) dla przeprowadzenia swej republiki *sereine* (rzekłbym *de serins*). Bo jakkolwiek Thiers nie jest już Volteryaninem, jak w młodości swojej, ale zaledwo, że jest deistą, *on revient toujours à ses premiers amours*. Przyjmuje on Boga, ale konstytucyjnego, *qui règne, mais ne gouverne pas*, i kroku naprzód uczynić nie chce, bo czyż ludzkość nie doszła pełnoletności swojej, i Boga wyręczyć w zarządzie świata nie potrafi? Doszedł on nawet, dzięki wczytaniu się w pomysły polityczne Napoleona I, do pojęcia potrzeby niezależności Papieża przez panowanie w domu własnym, ale dalej nie poszedł. Jakkolwiek najzdolniejszy człowiek stanu dawnej szkoły, skryształizował się w ideale monarchii lipcowej, opartej na klasie średniej, gotów poświęcić się dzisiaj dla zbawienia Fracyi, pod formą republiki umiarkowanej (tak miło poświęcać się, byle być zbawcą narodu swego!) ale zawsze opartej na ulubionej klasie średniej, to jest kupieckiej. A przecież ta klasa najbardziej bezmyślna, politycznie nad koniec łockia dalej nie widzi, najmniej religijna i najmniej patryotyczna. Coby się było stało z Francją, gdyby nie była zachowała swoich żandarmów i marynarzy Bretonów i Prowensalów, złożonych z wieśniaków jeszcze wierzących, a nie z kupców, adwokatów, dziennikarzy!

Otóż, jak powiedziałem, pilno Thiers'owi pozbyć się konstytuanty ruralnej i klerykalnej, a stworzyć sobie nową na obraz i podobieństwo swoje. Ale nie sądzę, by mu się to udało, bo wyraźnie Bóg psuje wciąż szyki roztropności ludzkiej, i objawia się ciągłemi niespodziankami, i czynić tak będzie aż ludzie, a najprzód Francuzi, nie uwierzą, że Bóg jest królem królów, i panem panujących, i że nie tylko ludzie pojedynczy, ale narody i rodzaje ludzki cały od niego zależą, i winny mu hołd i cześć i posłuszeństwo oddawać będą.

Wybaczcie, zem Wam wypisał myśli, jakie mi przychodziły podczas, gdym siedział w teatrze parlamentu francuzkiego. Może się one komu zdadzą, bo co we Francyi się dzieje, odbije się w reszcie Europy, mianowicie też u nas, którzy, jak jeden dyplomata zagraniczny niegrzecznie się wyraził, jesteśmy tylko małpami francuzkiemi. Od trzech pokoleń, rozkładające ideje nowożytne francuzkie zajeżdżały do nas, jak do karczmy otwartej, bez oporu, a katolicy nasi sami, najwięcej, że *le Correspondant* strawić mogli. Z dzienników politycznych ledwo że jeden lub drugi prawdę mówi i to

ostroźnie, bacząc na osłabiony organizm duchowy narodu. A że Thier jest znakomitą i zajmującą personifikacją idei nowożytnych, pozwólcie, że jeszcze coś o nim dodam.

Zaklął się on raz uroczyście w izbie, wzywając Boga na świadectwo, że on nie ma winy w tem co się stało, i że aktem najpatriotyczniejszym w jego życiu jest podpisanie takiego traktatu z Prusakami. Że jest patriotą, to prawda, i wielką zasługą z jego strony, że sobie rąk nie umył nad klęską ojczyzny. Wierzę, że zaklął się w najlepszej wierze, ale niech wybaczy, ma i on udział znaczny, choć pośredni, w tem co się dzieje. On był jednym z głównych sprawców rewolucyi lipcowej i uwięził ją kolumną ¹⁾. On bronił wychowania uniwersyteckiego, które zabezbożniło i ogłupiło Francją, jak dziś sami członkowie *de l'Institut et de l'Académie des sciences* wyznali. On przez rywalizacyą swoją z Guizotem otworzył służbę republice 1848 roku. On w dziele swoim *le Consulat et l'Empire*, dając za czystą prawdę bulletyny napoleońskie (choć stało się przysłowiem *menteur comme un bulletin*) wlał we Francuzów przekonanie o ich niezmiernej wyższości nad wszystkimi innymi narodami, że są narodem bohaterów, olbrzymów, którym zwycięstwo z prawa się należy. Dzieło to jego i sprowadzenie z jego popędu zwłok Napoleona I do Paryża, uczyniło możebnem drugie cesarstwo. Mowa jego po Sadowie, że nie należy pozwolić jednego kroku więcej naprzód Prusom w Niemczech, przyspieszyła ostatnią kampanią; popieranie Favr'a (który nie chciał przyznać Bismarkowi, że jest motłoch *populace* w Paryżu) by nie dopuścić rozbrojenia gwardyi narodowej paryzkiej, wyprawienie pośpieszne z Paryża klerykalnych *mobiles de l'Ouest*, którzy byli dwa razy przetrącili ruch Bellevilczyków; uczyniło możebnym wybuch w takich rozmiarach rewolucyi komunistycznej. Nie jest zatem tak niewinnym pan Thiers w tem co się dzieje, jak mu się zdaje, i jest coś zadowolenia faryzeuszowskiego w jego cnocie politycznej. Szersze wyznanie zrobili publikanie — dziennikarze, wołając jak *Le Temps*, „kto z nas nie przyczynił się do tego co się dzieje?“ karmiąc naród omłotem samych brudów obyczajowych i podając w śmieszność nie tylko co święte, ale wszystko co po ludzku pocziwe. To nie przeszkodzi by

¹⁾ Kiedy mu powiedziano w roku 1831, że lud rozdrapał i wrzucił do Sekwanny pałac arcybiskupi, odpowiedział: *ce n'est rien, cela va dégager l'église*. W lat 40 ten sam lud zburzył hotel jego, zabrał mu brzozy i papiery; możnaby powiedzieć: *ce n'est rien, cela va dégager la place St. Georges*.

ci panowie nie wrócili *in id ipsum*, jak skoro strach przejdzie, ale wyznanie takie na razie zawsze jest drogocennem.

Wracając do pana Thiersa, jest coś tragicznego w walce tego rewolucjonisty umiarkowanego, z rewolucjonistami logicznymi. Bo jak skoro niema innego życia po za tem ziemskim, a przynajmniej polityka rządowa nie ma się tą rzeczą zajmować, gdyż podług pana Dupin *la loi est athée*, jak skoro najbardziej jeszcze chrześcijański statysta nowożytny we Francyi, pan Guizot nie umiał nic innego poradzić narodowi, aby był szczęśliwym jedno *enrichissez-vous*, socyalizm i komunizm jest koniecznem następstwem zasad nowożytnych i żadne „ale“ temu nie zaradzą. Zdaje się, że pan Thiers zużywa się, i musi zużyć do końca, aby przekonać, że największa zrzeczność ludzka Francuzów nie wybawi, jedno władza oparta na Bogu i na odwiecznych zasadach moralności objawionej.

(C. 1 n.)

O METODZIE SCHOLASTYCZNEJ.

JEJ GENEZA, ROZWIJANIE SIĘ I DOJRZAŁOŚĆ.

(Ciąg dalszy.)

III Na co zważać należy w ocenianiu jakiejbydy metody naukowej. — Wartość metody scholastycznej w pismach prawdziwych scholastyków. — Św. Tomasz z Akwinu. — Albert Wielki. — Aleksander de Halles — Św. Bonawentura. — Jan Duns Scot. — Metoda pozytywna i pojmowanie teologii przez starożytnych. — Teolodzy średniowieczni — Data wytoczonego procesu teologii scholastycznej. — Czem byli oskarżyciele. — Bellarmin. — Svarez. — Bossuet. — Fenelon. — Melchior Canus. — Bako Werulamski. — Erazm Reterdamczyk. — *Colloquia Spiritualia*. — Sadolet. — Maldonatus. — Hugenocka pijawka. — IV Zarzuty i frazesa racjonalistów. — Trentowski. — Sługa teologii. — Obrona teologii scholastycznej przez Bossueta. — Ryszard Simon. — Szkoła eklektyków francuzkich. — Cousin. — Kommunały dziennikarskie.

Aby sprawiedliwie jakakolwiek metodę ocenić, trzeba się jej przypatrzeć jak wygląda sama w sobie, w dziełach swych prawdziwych przedstawicieli i w porównaniu z metodą przeciwną, a nie zaś jak wygląda w pismach tych, którzy jej nadużywali, lub w madrygałach wyrachowanych umyślnie na jej sponiewieranie.

Lecz jakże rzeczywiście metoda scholastyczna przedstawia się sama w sobie lub w teologach godnych nazwy scholastyków? Co

stanowi jej istotę? Mieć jasne i dokładne pojęcie przedmiotu traktowanego; umieć to pojęcie z całą ścisłością przelać w umysły drugich; stawiać przede wszystkim zasady prawdziwe i pewne, wyprowadzać z nich drogą ścisłego rozumowania wnioski rzeczywiście w nich zawarte; używać w tym celu wyrażen jasnych, ściśle oznaczonych, a mimo tego przystępnych; unikać wszystkiego co się nazywa zboczeniem od przedmiotu; niepozwalać sobie żadnych, choćby najprzyjemniejszych dla umysłu wycieczek, żadnych frazesów jakkolwiek bądź świetnych, ale w rozumowaniu podejmowanych tylko dla zamaskowania chwilowego ambarasu, dla olśnienia słuchacza lub nawet choćby dla jakowejś rekreacji ducha; strzedz się wszelkich pojęć mglistych, wszelkich idei niepewnych, będących raczej mrzonkami wyobraźni niż rzeczywistymi ideami umysłowymi, wszelkich zdań na dwoje wróżących; stawiać kwestye w porządku naturalnym, iżby sobie wzajemnie udzielały światła, wzajemnie się tłumaczyły i dopełniały—oto jest jądro metody scholastycznej. Jest to, że tak powiem, matematyka zastosowana do wszelkiego procesu scientificznego. I czyż w ten sposób pojęta owa metoda przedstawia się istotnie tak niekorzystnie, jak chcą mieć jej przeciwnicy?

W pismach prawdziwych scholastyków, wartość jej przedstawia się wyraźniej jeszcze, bo w całej plastyczności. Za jej to pomocą święty Tomasz z Akwinu zbudował niespożyty system teologiczny, znany pod nazwą summy teologicznej. Ta metoda posłużyła mu za środek, przez który wszystkie siły i wszystkie skarby umiejętności teologicznej sprzął w jedną pełną życia całość. Całe Pismo św., wszystkie do wieku XIII odbyte sobory, wszystkie skarby tradycji rozrzucone po dziełach Ojców świętych, wszystkie rezultata badań wielkich exegetów, wszystkie prawdziwie katolickie teorye doktorów kościoła, apologie i pisma tak pozytywne jak polemiczne autorów kościelnych, jak niemniej dzieje kościoła dotyczące w jakibądź sposób dogmatu lub moralności chrześcijańskiej, wszystkie te źródła i mateyały, jak gdyby oczekiwały na rozwinięcie i dojrznięcie metody scholastycznej, aby podług jej planu, przez wskazany jej światłem kierunek, pod jej nadzorem zbiegły się w rękach genialnego architekta ku zbudowaniu najwspanialszej, jaką kiedykolwiek widziano, a razem najsilniejszej świątyni umiejętności.

Nikt dobrze świadomy rzeczy nie powie, że tu geniusz tylko stanowi wyjątek, więc że to jeszcze nic nie mówi za metodą scholastyczną: bo najprzód to samo, że geniusz taki tą się właśnie metodą prawie wyłącznie posłużył, już nadzwyczajnie wiele za nią

świadczy; bo powtóre św. Tomasz ani jest jedynym, ani pierwszym, ani ostatnim z tych, którzy się tą metodą z wielkiem powodzeniem dla teologii równie, jak dla filozofii posługiwali. Owszem można śmiało twierdzić, że sama owa metoda, doszedłszy w wieku XIII do swego pełnego rozwinięcia, wywołała ową plejadę gwiazd teologicznych i filozoficznych pierwszego blasku, jakim ten wiek zajaśniał. Albertus Magnus, Aleksander de Hales, św. Bonawentura, Roger Bacon, Wincenty de Beauvais (Bellovacensis), że już nie wspomnę takich pierwszorzędnych znakomitości jak Jan Duns Scot i wielu tym podobnych, którymi jaśniały dwie wielkie szkoły, dominikańska i franciszkańska, więcej podobno niż dostatecznie świadczą nie tylko na korzyść w mowie będącej metody, ale na jej największą chwałę.

W zestawieniu i porównaniu z metodą pozytywną nie tylko także metoda scholastyczna nic nie traci, ale owszem zyskuje. Dom Rivet i wielu tego kalibru uczonych surową krytykę swoją właśnie zdają się ostrzyć predylekcyą do metody pozytywnej. Zobaczymy o ile słusznie.

Metodę pozytywną nie zawsze wszyscy jednako pojmowali; biorąc ją w zwykłym znaczeniu tego wyrazu, jest ona o tyle w sprzeczności ze scholastyką, iż gdy ta ostatnia posługuje się w teologii przeważnie dyalektyką i otwiera szerokie pole dla spekulacji, pozytywna tymczasem ogranicza się prostem przedstawieniem dogmatów i popieraniem ich tekstami Pisma św. i Ojców kościoła. Mało kto nie zgodzi się na zdanie, iż tak wyłącznie, i że tak powiem, skrajnie pojęta metoda pozytywna w żaden sposób nie odpowiada idei, jaką sobie o teologii wyrobili starożytni jej uprawiacze. Takie proste, protokolarne sprawdzenie dogmatów może być punktem wyjścia, może być nawet przeważnym materiałem teologicznych spekulacyj, ale żadnym sposobem zwać się nie może teologią. Sam czas, ten wielki i nieomylny sędzia wszech rzeczy, załatwia ostatecznie za dni naszych ów tak już stary, powiem raczej, przestarzały proces między temi dwiema metodami. Ci z teologów średniowiecznych, którym w ostatnich czasach przyznano palmę wyższości, należą wszyscy do szkoły spekulatywnej, gdy tymczasem reprezentanci metody czysto czyli skrajnie pozytywnej, śpią zapomnieni przykryci pyłem całego wieku w pulkach wielkich bibliotek.

Jakkolwiek zaś metoda scholastyczna mogła być nadużyta, to jeszcze wcale za tem nie idzie, aby nad nią wypadało przekładać czysto pozytywną. Doskonałość metody nie leży w wyłączności ani

też w sztucznym synkretyzmie lub eklektyzmie, ale w żywotnym związku jednej z drugą, o ile w jednej lub drugiej znajdują się żywioły wypróbowanej wartości. Exkomunikować i wyklinać jedną lub drugą, wcale nie jest jeszcze działać na korzyść tej, do której się czuje predylekcyę. Dogmatyka jednocząca w sobie wszystkie warunki prawdziwej umiejętności, jeżeli co odpycha, to właśnie taką wyłączałość i jeżeli się czem u takich autorów jak Peronne i Libermann podniosła i znaczenie swoje przypomniwała, to właśnie tem, że zamiast na rzecz tej lub owej metody rozdzielać żywioły jej konstytutywne, przyjmować jedne a odrzucać drugie dla tego, że do metody ulubionej nie przystają, autorowie wspomniani raczej uznali owych żywiołów i wartość i prawa — metody zaś i to właśnie scholastycznej przeważnie użyli tylko w celu ich rozklasyfikowania i harmonijnego zespolenia

Odkądże właściwie datuje się proces wytoczony w imię interesu naukowego przeciwko scholastyce? kto przeciwko metodzie scholastycznej najpierwej wystąpił i zapalił tę wojnę, na której tlejące szczątki my jeszcze dzisiaj patrzymy? Oto ci właśnie, którzy przeciwko prawdziwej teologicznej umiejętności najwięcej nagrzeszyli. Były to od początku umysły nadęte i zwykle więcej niż podejrzanej prawowierności. Wylęły się one z tego miazmu antykatolickiego, który miał wydać wielkie kacerstwa i odszczepieństwa XVI wieku. Otóż godne jest uwagi, że nie można zacytować ani jednego prawdziwie wielkiego teologa z owych czasów, któryby miał coś do powiedzenia przeciw scholastyce. Nie mówię już o takich mistrzach jak Cajetan, Eck, Emzer, Cochleus, Contarini, Sadolet, Piotr i Dominik de Soto, Bellarmin, Suares — wspomnę tych tylko, którzy właśnie reprezentują metodę prostego wykładu dogmatów, a zatem metodę pozytywną. Cóż zatem przeciw scholastyce mieli do powiedzenia taki Petaviusz, Maldonatus, co Bossuet lub Fenelon? proszę czytać w zbyt może nawet wyłącznie pozytywnym Melchiorze Kano ustęp o dyalektyce i scholastyce. Zaiste, pod względem przepychu cycerońskiej łaciny mało mu kto wyrówna; nie sądził on jednakże, aby dla wad lingwistycznych godziło się powstawać przeciw scholastyce nieprzebierającej w wyrażeniach, byle tylko rzecz ściśle oznaczyć. Któż zatem? Taki Bako Verulamski (Franciszkan), któremu chodziło o treściwość i czystość argumentacji, a który w systemie swoim indukcyjnym tyle ma prawdziwego, ile wziętego z dzieł wielkiego swego średniowiecznego imiennika,

scholastyka czystej krwi, Rogera Bakona ¹⁾! Taki Erazm Roterdańczyk, którego najpiękniejsze kwiaty scienceficzne cuchną trupim śwędem herezyi, którego katechizm katolicki dwadzieścia lat od kanizyuszowego wcześniejszy, był i jest więcej niż podejrzany o współnictwo z wielką podówczas występującą herezyą Lutra; którego umizgi zwracane do wszystkich nieprzyjaciół kościoła, bądź z Francyi, bądź z Niemiec, rzymską naukę zaczepiających i spotwarzających czynią prawie religijnym nietoperzem, którego *Colloquia Spiritualia* surowo przez kościół cenzurowane są tkaniną najniemoralniejszych anegdot przeciwko stanowi zakonnemu wymysłonych i w cycerońskie frazesa ubranych; którego nakoniec śmieszne pretensye wywołane przeświadczeniem o własnej wielkości a o powszechnej głupocie epoki ówczesnej, nadeły tonem wzgardliwym przeciw nieklasycznie i nieegzegetycznie wyrażającym się katolickim teologom. Lecz ktoby chciał wierzyć ostrym i złośliwym krytykom Erazma, jeżeli nie chce na ślepo wierzyć, niech proszę weźmie na uwagę którąkolwiek z jego książek nieobjętych indeksem; niech się wczyta w tę przechwaloną erudycyę filologiczną egzegetyczną i niech ją bada w sąsiedztwie z dziełami w tym przedmiocie, nie powiem już Ojców kościoła, ale współczesnych mu prawie pisarzy takich jak n. p. Sadolet, Korneliusz, Maldonatus, lub takiego późniejszego jak Petaviusz (wszystkich właśnie z obozu potępionego przez Erazma), a jestem przekonany, że choćby też najbardziej był uprzedzonym, prędko odstąpi swych antyscholastycznych przesądów i złudzeń i przestanie na wiarę chudych historyj literatur powtarzać oklepane formuły o wielkim wpływie tego prekursora luteranizmu na powszechne odrodzenie nauk.

¹⁾ Roger Bako, franciszkanin, w r. 1266 na żądanie papieża Klemensa IV. posłał pisma swoje do Rzymu zawarte w trzech dziełach: *Opus majus*, *Opus minus et Opus tertium*. Dwa ostatnie z tych dzieł mało znane znajdują się dotąd w manuskryptach. We wszystkich trzech Roger Bako traktuje o sposobach ulepszenia stanu umiejętności, przedstawia powody opóźnienia postępu w tychże, daje nacisk na potrzebę większej gruntowności w uprawianiu umiejętności naturalnych, domaga się obszerniejszego studyum matematyki i języków, zwraca uwagę na żywotny związek filozofii z teologią. Franciszek Bako de Verulam, ów ostry krytyk metody syllogistycznej a więc także i scholastycznej nie tylko się posługiwał genialnemi spostrzeżeniami Rogera, ale go po prostu okradł, udając za swoje w celu potępienia scholastyki, co tamten zdobył pracą swoją w celu jej podniesienia. Wiadomo, że system indukcyjny wynaleziony niby przez Bakona Verulamskiego, jest po prostu syllogizmem, którego *propositio maior aut minor* jest tylko ukryta.

Jak Erazm w imię filologii i egzegetyki, tak słynny (niewiedzieć z czego)? Ramus, ta hugonocka pijawka wysysająca z uniwersytetu paryzkiego resztki ortodoksji katolickiej, w imię Arystotelesa, podniósł przeciwko scholastyce góry zarzutów. Oto jest jedna z tych Ossów, czy Pelionów! słuchajcie, słuchajcie! *quid ergo alteratores theologi, quomodo logicam hujus philosophi observant* — woła tedy Ramus: I cóż tam ci rozprawiacze toologowie? jakże oni to przestrzegają logicznych prawideł tego filozofa (Arystotelesa)? Występują najprzód z jakimiś sarmackimi prologami, czy tam już nie wiem od jakich barbarzyńców pożyczonemi: Tak dowodzę! tak dowodzisz! *Sic argumentor — sic argumentaris!* potem z autora przytaczają i i stawiają cały syllogizm. Nie dość na tem. Trzeba ten syllogizm raz i drugi raz powtórzyć, potem się syllogizm kraje i szczegółowo o propozycjach znówu się powtarza, co się już raz, drugi i trzeci powiedziało; to zaś na to, żebyśmy usłyszeli owe przesłiczne *nego majorem, concedo minorem, distingo consequentiam*. Nie wiem za prawdę, czy nad ten rodzaj sofizmu mogło być kiedyś coś dziecinniej lub głupiej w dziedzinie nauk wniesione: *Quo sophismatis genere nescio an infantius vel ineptius quidquam in scholas unquam illatum sit!*

To się nazywa poważny argument przeciw teologii scholastycznej! Argument Ramusa, Ojca odrodzenia nauk w uniwersytecie paryzkim! Aby taki potężny argument stwierdzić czy objaśnić przykładem, przytacza następnie jakąś chłopięcą awanturę syllogistyczną, której teolog scholastyczny słuchałby chyba jako jakiejś śmiesznej zabawki ale nie dysputy. Maldonat, teolog jezuicki, którego uniwersytet duchem Ramusowym ożywiony, potępił z całą jezuicką szkołą, jako szerzyciela ciemności, tak na owe argumenta Ramusowe odpowiedział:

„Ależ scholastyka, jeżeli się nie mylimy, niczem innem nie jest, jak tylko samą właśnie teologią, ową teologią prawdziwą, gruntowną, doskonałą, wykończoną, uczoną, wymowną, roztrofną, nie w jakimś ciemnym kącie, ale na polu ciągłych walk z błędem i fałszerstwem wzrosłą i rozwiniętą. Oto jest scholastyka godna tej nazwy. Jeżeli nie przeciwko tej, lecz przeciw innej jakiejś scholastyce walczyacie, tedy nas na polu takiej walki nie znajdziecie, i jeżeli wam to zrobi przyjemność, chętnie wam wieniec zwycięzców przyznamy. Chcecie o scholastyce poważnie rozprawiać—dobrze, ale proszę, nie mieszkajmy rozprawy z żartami, nie mąćmy prawdy z głupstwami i śmiesznościami. Cóż scholastyka prawdziwa winna

temu, że czczy mania rozprawiania tych lub owych autorów, przyswoiła sobie jej tytuł, nadużyła form i przepisów i zbeczczyła ją temi nadużyciami. Prawdziwa scholastyka z bogaca umysły w niej wykształcone, pełną znajomością tego wszystkiego co służy do gruntownego wykładu religii i do jej skutecznej obrony — fałszywa zaś bawi się w złudzenia dowodzeń i rozpraw, które zamiast służyć interesom religii, raczej ją kompromitują w oczach nieumiejących rozróżnić umiejętności religii od samejże religii, ani nadużyć prawideł umiejętności od samejże umiejętności. O którąż wam idzie? Jeżeli o drugą; zostawiamy was na boku i pójdziemy swoją drogą, dziwiąc się tylko temu, że ludzie miani za uczonych tak się z wiatrem biją. Albo, jeżeli rzeczywiście jedną i drugą macie za jedno i toż samo, raczcie się im bliżej przypatrzeć:

Prawdziwa scholastyka zaopatruje teologa we wszelkiego rodzaju racye rzeczy religijnych, jako w broń najwłaściwszą, w celu bronięcia sprawy religijnej. Ona się wyraża jasno, dokładnie, stawia swe propozycye należycie określone, że każdy kto je słyszy, a nie jest całkiem obcym w dziedzinie nauki, wie o co idzie; ona następnie rzeczy swej dowodzi racyami rzeczywistej wartości i wagi oraz odpowiedniami swemu przedmiotowi. Jak nauki eksperymentalne nie mogą się posługiwać racyami apriorycznymi, jak nauki metafizyczne nie mogą używać racyj zaczerpniętych z eksperymentu zmysłowego, tak nauka teologiczna, scholastyczna ani chce, ani może iść w dowodzeniu o sile racyi fizycznych lub apriorycznych; przynajmniej nie może się na nich opierać przeważnie, naczelnie. Przedewszystkiem scholastyka dba o to, aby mieć i przedstawić prawdziwe o rzeczach swego przedmiotu dotyczących pojęcia i sądy; boć teolog powinien umieć mądrze i umiejętnie zdać sprawę nie tylko z zasad ale też i różnych opinij, tam gdzie zasady niemogą wszystkiego zdecydować; powinien zatem oznaczyć ciężar wartości i powagi owych opinij. A pytam się, czy to byłoby podobnem, gdyby ów teolog nie był obeznany z wszystkimi składowymi częściami wielkiego gmachu teologicznego?

Prawdziwa scholastyka ma to do siebie, że swych adeptów zabezpiecza równie przed zabobonami i przesądem *per excessum*, jako i przed powątpiewaniem i przesądami *per defectum*. Ona go uczy jak ma sądzić o rzeczach bez uprzedzania się i lekkomyślności, i jak ma rozróżniać między rzeczywistą sprawą religii, a sprawami, które się tylko pod nią podszywają. Ona czyni jeżeli nie bystrym, to przynajmniej przezornym na wszelki zamach zmieszki

bez względu na to czy ten zamach z przychylnego dla religii obozu, czy z nieprzychylnego wychodzi. Pod tym względem jest ona w zupełnej sprzeczności z fałszywą scholastyką. Ta ostatnia bowiem nie tego uczy co jest i jak jest, tylko co sobie jej zwolennicy wyobrażają — kiedy prawdziwa scholastyka wprowadza swych uczniów w nieukończenie bogaty zakres Pisma świętego, odsłania mu w objawieniu źródła i fundamenta prawd religijnych i wielkie motywa wiary, kiedy wraz ze skarbnicą ksiąg świętych, przedstawia mu skarb tradycji, skarb wyroków Soborów, a obok tego wypróbowanej wartości starożytnych i późniejszych autorów — to tymczasem fałszywa scholastyka kręci się tylko w imaginacyjnym zakresie zdań i racyj lub w zakłętym kółku logicznych form i dowodzeń, i ćwiczy swych adeptów w sztuce gmatwaniny lub w nędzniejszej jeszcze sztuce zręcznego wybiegania po za przedmiot i rozprawiania z równą dozą nieuctwa i efronterji. Jeszcze raz pytam się ażali temu winna prawdziwa scholastyka ¹⁾).

Tak odpowiada w obronie scholastyki jeden z największych teologów XVI wieku — teolog właśnie pozytywny, ale nie wyłącznie pozytywny. W istocie, kto czytał lub słyszał scholastyków rozprawiających, ten wie co wypada sądzić o krytykach wymierzonych przeciwko beztreściowości i niefilozoficzności teologii scholastycznej. Gdyby mniej na ślepo tym krytykom u nas wierzone, wtedy pewnie resztki półprotestanckich zdań i febronjańskich frazesów o scholastycyzmie zostałyby wymiecione bez pardonu i na zawsze ze szkół zwłaszcza duchownych, gdzie się jeszcze w skutek zastarzałych nawyknień, mimo wstrętu młodszych i dzielniejszych umysłów, gwałtem chcą utrzymać; — z katedr zaś teologii i historii kościelnej płynąłby raczej ów silny, sumienny, poważny wykład, wyczerpujący swój przedmiot wszechstronnie, jak chce mieć właśnie prawdziwa scholastyka, zamiast coby się jeszcze miały prezentować nieznośne marodery zdań albo raczej potwarzy wylęgłych w smutnej epoce Jahna et comp.

IV.

Nie pozostaje nam jak rozprawić się jeszcze z najpoważniejszym niby zarzutem, jakoby scholastyka psuła naukę chrześcijańską, podstawiając powagę Arystotelesa w miejsce powagi Jezusa Chrystusa.

¹⁾ *Maldonat et l'Université de Paris — par R. P. Prat.*

Możnaby na to odpowiedzieć zarzutem wprost przeciwnym, stawianym przeciw scholastyce przez racjonalistów, którzy, jak wiadomo, oskarżają znowu wszystkich bez wyjątku scholastycznych teologów o krępowanie ludzkiego rozumu więzami nadnaturalnej powagi, o poświęcaniu filozofii dla teologii, o całopalenie wolności i samodzielności ludzkiego ducha na ołtarzu boskiego objawienia i kościelnej powagi — ale — ponieważ takie zestawianie skrajnych zdań i sądów praktykuje się dzisiaj z wielką lubością i na więcej niż obszernie rozmiary przez samychże nieprzyjaciół i teologii i religii, przeto damy pokój temu chwytnemu na gorącym uczynku sprzeczności wiecznych naszych i *ex professo* albo *ex praedilectione* przeciwników i przypatrzmy się rzeczywistym racjom zarzutu, abyśmy mogli z wszelką stanowczością usunąć raz na zawsze podsuwane nam skrupuły.

Pobieżny niniejszy pogląd na tę sprawę posłuży nam też może do tem lepszego obeznania się z prawdziwą fizyonomią scholastyki i do wydania sądu należytego o najważniejszej fazie w dziejach teologii dogmatycznej.

Gdybyśmy chcieli wierzyć pisarzom antykatolickim XVI stulecia, wieki średnie przedstawilyby nam się jako najnieszczęśliwsze dla religii chrześcijańskiej. „Wówczas to, wołają oni prześcigując się w oburzeniu swoim faryzejskiem, wówczas to starożytna nauka psuć się poczęła, a zepsucie to z każdym dniem odąd wzrastało, stając się coraz głębszem, coraz do uleczenia trudniejszym. Wówczas, dzięki świętokradzkiemu najściu dyalektyki Arystotelesowej w przybytek umiejętności teologicznej, filozof Stagiry zepchnął z tronu Zbawiciela świata i sam na nim zasiadł. Wśród powszechnej a grubej ignorancyi owych wieków, snadno bardzo dla nędznych subtelności zaniechano czystej chrześcijańskiej tradycyi.“

Oto jedna z owych mnogich formuł tak często i z takim upodobaniem powtarzana przeciw teologii i teologom scholastycznym. Na zarzut zawarty w niej odpowiemy przez dokładne oznaczenie stanowiska filozofii w dziełach teologicznych teologów średniowiecznych, o których tu głównie jest mowa.

Pomijając już wspomnianych powyżej Roscelina i Abelarda, te najczystsze typy średniowiecznego racjonalizmu — wszyscy tak starożytni jak i nowocześni teologowie, tak Ojcowie Kościoła jak i średniowieczni doktorowie zgadzają się na to, że filozofia jest sługą teologii. Trentowski bardzo się gniewa na to zdanie ubliżające podług niego powadze filozofii, nie mogąc jednakże zaprzeczyć

faktu, woła ironicznie: „Niech to więc będzie i sługa, ale sługa niosąca pochodnię przed swą panią, bez której owa pani pozostałaby w ciemności.“ Na co odpowiadamy bez ironii: Niech i tak będzie, sługa owa niesie więc pochodnię i rzuca światło na teologię. Czemuzby nie? Wszakże teologia nie jest jeszcze religią, tylko umiejętnością religii, umiejętnością jak każda inna, dla ludzi — jest zatem w potrzebie posługiwania się światłem rozumu. I to jej nie ubliża, jak nie ubliża samemu Bogu, że go też człowiek w pewien sposób i światłem rozumu poznaje.

Ale żebyśmy rozumowi i filozofii niewiedzieć jak wysokie w umiejętności teologicznej przyznali stanowisko, to zaprzeczyć tego żadnym sposobem nikt na drodze prawdy nie zdoła, iż wedle scholastyków i w ogóle wedle wszystkich katolickich teologów nie filozofia, ani rozum sam przez się, ale wiara i symbol chrześcijański w swej całości jest punktem wyjścia, prawidłem i miarą wszelkich teologicznych spekulacji. Nie, nigdy w pojęciu średniowiecznych teologów filozofia zająć nie może w dziedzinie teologii pierwszego miejsca, zawsze jej proces równie jak i jej wymagania, racje i rezultaty muszą tu przechodzić przez próbę reguły i warunków wiary; zawsze być muszą kontrolowane i bez świadectwa zgodności z warunkami umiejętności, której przedmiotem jest istota i przedmiot samejże wiary do przyświecania w królestwie tej umiejętności przypuszczone byćby nie mogły. Nic tu nie nada przypominać, że głównym filozofii instrumentem a nawet autokratycznym władczą jest rozum, i że zakresem jego działań jest oczywistość (*evidentia*), po za którą o niczem wiedzieć nie chce — tak jest, nic tu nie nada — teologia bowiem chętnie się na to zgodzi, póki filozofia uznaje granice swego naturalnego zakresu — ale odkąd rozum naturalny z filozofią poczynają wkraczać w granice państwa rozjaśnionego słońcem nadnaturalnego objawienia, odtąd teologia, jakkolwiek wdzięcznie przyjmująca usługi filozofii, wciąż jej to przypominać musi, że nie tylko jej, ale nawet samego rozumu usług przyjąć inaczej nie może jak tylko pod warunkiem, że i filozofia i rozum uznają razem i niezmierną nad swój zakres wyższość światła objawionego — i pomimo tej wyższości, doskonałą z onem światłem zgodność.

Głęboka cześć, z jaką większa część scholastyków przytaczała zdania i powagę Arystotelesa (jakoby filozofa *per excellentiam*), zaprzeczyć się nie da, ale, czy ubliżała ona Chrystusowi i Objawieniu, to inna kwestya, albo raczej to fałsz. Wiele kroć razy pojęcia tego filozofa nie harmonizowały z dogmatem chrześcijańskim,

porzucali go bez namysłu, lub co najwięcej, przez pewien rodzaj przychylny mu exegezy starali się godzić jego zdania z faktami Objawienia. W tym ostatnim przecież wypadku Arystoteles zawsze musiał coś ustąpić wobec surowych wymagań wiary, która w żadne nie wchodziła tranzakcje i żądań swoich w rzeczach dotyczących dogmatu ani łagodziła ani dopuszczała możebności jakiegokolwiek bądź koncesyi. Fakt ten nie ulega najmniejszej wątpliwości. każdy to uzna, kto scholastykę zna ze scholastyki. W dziełach średnio-wiecznych doktorów filozofia zawsze jest na drugim planie, nigdy jako rej wodząca, nigdy jako wyrokująca. Bossuet klasyczny i dogmatyczny, bardzo dokładnie rzecz tę wyraził, broniąc metody scholastycznej przeciwko niesprawiedliwym i gwałtownym zarzutom Ryszarda Simon'a. „Co się tyczy scholastyków i świętego Tomasza (mówi on), których p. Ryszard Simon zarzutem średniowiecznego barbarzyństwa usiłuje zniżyć, powiem mu w dwóch słowach, że w scholastykach i w św. Tomaszu potrzeba zawsze rozróżnić grunt rzeczy od formy w której rzecz jest przedstawiona. Gruntem, który stanowią wyroki, dogmata i niewzruszone zasady szkoły, nic innego nie jest, jak tylko czysty duch tradycyi i Ojców świętych. Co się tyczy metody, która polega na traktowaniu przedmiotów w sposób dydaktyczny i polemiczny, ma ona także swoje korzyści. byle jej nie stawiano za cel umiejętności, lecz byle to tylko w niej widziano, czem jest w sobie, to jest środek, sposób, narzędzie... I trudno tu byłoby chcieć załatwić sprawę przeciwstawieniem metody jakiej się trzymali Ojcowie Kościoła, oni bowiem nie tylko że nie gardzili dyalektyką, ale jak np. św. Bazyli, Cyryl Aleksandryjski, św. Augustyn, że już nie wspomnę św. Jana Damascena oraz tylu innych greckich i łacińskich, posługiwali się często i nader korzystnie definicyami, podziałami, syllogizmami, jednym słowem, metodą dyalektyczną, która w gruncie rzeczy niczem nie jest innem, tylko scholastyką“¹⁾).

Stanowisko to dyalektyki względem wiary i filozofii względem teologii jest faktem tak się wiernie powtarzającym w autorach średniowiecznych, że kiedy zimny rygorizm antykatolickich teologów zarzucał im, iż dla filozofii poświęcili Pismo święte i tradycję, to z drugiej strony racjonalści z równą stanowczością obwiniają ich o zamachy przeciwko prawom ludzkiego rozumu i o krepowanie wolności ducha ludzkiego więzami Objawienia. Oto są słowa wy-

¹⁾ *Defense de la Tradition et de Saints Pères. t. III.*

rzeczone w tej sprawie przez naczelnika co dopiero przycichłej szkoły eklektyków francuzkich: „Jako średnie wieki są kolebką, w której wykołysana została społeczność nowożytna, tak samo scholastyka jest kolebką nowożytnej filozofii. Czemu średnie wieki są dla nowożytnej społeczności, tem scholastyka jest dla nowożytnej filozofii. Lecz średnie wieki niczem innym nie są, jeno absolutnem panowaniem władzy kościelnej, w ręku której władze polityczne były tylko mniej więcej pozwolonemi narzędziami. Otóż więc i scholastyka czyli filozofia średniowieczna niczem też innym nie przedstawia się z swej strony, jak tylko posługiwaniem się filozofią jako prostą formą na rzecz wiary i pod czujnym nadzorem władzy religijnej. Taką jest filozofia scholastyczna. Jej użycie i zakres są ograniczone; jej granice bardzo ciasne, jej znaczenie bardzo względne, podporządkowane“¹⁾.

Pomijając zdanie, którego p. Cousin używa za wyraz porównania: „*le regne absolu de l'autorité ecclesiastique, dont le pouvoirs politiques ne sont que les instruments plus ou moins dociles*“; a które to zdanie, neguje fakt żadnym sposobem zanegować się nie dający, to jest żywe przejęcie się społeczności średniowiecznej niewzruszoną zasadą różnicy dwóch społeczeństw, dwóch władz, oraz ich względnych praw i atrybucyi świeckiej i duchownej, oraz drugi fakt głębokiego uczucia wzajemnych obowiązków opartych na zasadach prawa bożego, niezawisłych od wstrząśnień zewnętrznych, fakt przeważnie cechujący średnie wieki, pomijając, mówię, to zdanie i to porównanie zbyt już dzisiaj zeszło na dziennikarskie komunały, aby nam się godziło w tem zwłaszcza miejscu z niem rozprawiać, podjąć tu jednak musimy słowa dotyczące stanowiska filozofii wobec Kościoła w wiekach średnich. Słowa te nic innego nie wyrażają, jak tylko, że teologia w średnich wiekach tłumiała myśl filozoficzną; że wobec teologii scholastycznej filozofia nie miała żadnego samostannego bytu. W samej istocie, jeżeli filozofia istnieje tylko pod warunkiem niezawisłości absolutnej, tylko jako monarchini wszech umiejętności, której wobec żadnej powagi, czy to objawienia nadnaturalnego, czy to boskiego nauczycielstwa Kościoła, nie godzi się nie z owej niezawisłości i z owego majestatu ustępować, to wyznać należy, że wieki średnie w takich warunkach filozofii nie znały.

¹⁾ Cousin. *Cours de l'histoire de la philosophie.*

KARTA WSPOMNIENI

Berlicza Sasa.

(Ciąg dalszy.)

Całą noc trwała gorączka. Chory miotał się i jęczał. Z ust spalonych biegły urwane wołania, ciężkie westchnienia, bolesne i błagalne słowa. Imiona Grazielli i barona Arnolda, często powtarzane, jednoczyły się z sobą dziwacznie, pośród chaotycznego natłoku sylab, wyrazów, peryodów, brzmiących bez stosunku i znaczenia w ochrypłym głosie chorego.

On wzywał kogoś, błagał, zaklinał — zdawał się pociągać ku sobie, lub odtrącać z przerażeniem. Serce jego truchłało w obec groźnego jakiegoś widzenia, jakiejś mary chciwej i nieubłaganej, przed którą cała potęga męztwa męztwa, jego i woli padała w niemocy.

Nadędnem zwolniła nieco maligna. Ucichły miotania i jęki. Lekarz posłał po nowe leki i rzekł do nas:

— Pokonałem ciało, lecz nie wiem, czy mi się uda poskronić ducha! Okropne jakieś zdarzenie potrząsało nim gwałtownie. Czy nie domyślacie się, coby to być mogło?

Ani Figeac, ani ja, nie mogliśmy zadosyć uczynić jego pytania, bośmy o przyczynie katastrofy nic jeszcze nie wiedzieli. Tyle tylko dowiedział się lekarz od Figeac'a, że Aleksiejew kochał młodą i piękną dziewczynę; że ją kochał serdecznie, uczciwie i miał ją pojąć za żonę.

— A ta dziewczyna — zapytał lekarz — czy godna takiej miłości?

— O! to miłe, zacne i nieporównane stworzenie! — rzekł Figeac z rozrzewnieniem. — Znam jej serce i śmiało mogę zaręczyć, że skoro tylko wyrzekła słowo *kocham!* nie skłamała. Nie ona więc przyczyną tego co się stało. A jednak... pojąć nie mogę... bo on był u niej do późna, jak mi powiedział Fidelio. — Nigdzie więcej nie był. *Je ne sais vraiment que penser.*

— Czy nie miał czasem rywala? — zapytałem Figeac'a. — Wenecya jak i Korsyka, ma swoje *vendetty*. Zazdrość bywa niezrządkiem podniecią zbrodni. Wzgardzonemu współzawodnikowi mogło przyjść do głowy wyrzucić zemstę nad szczęśliwym kochankiem.

Wszak niema nic niepodobnego, że czatował nań i wtrącił zdra-
dziecko do morza?

— *Tiens — c'est une idée cela!* — zawołał Figeac, uderza-
jąc się ręką po czole — podzielam myśl twoją

— A ja nie! — przerwał lekarz. — Rysy twarzy wyrażały
długą walkę wewnętrzną, boleść niezmierną i rozpacz. Słowa do-
pełniały znaczenie twarzy. — Nie! on niebył strącony do morza —
sam się rzucił, bo szukał śmierci. Rzecz niezawodna!

Podczas tego dyalogu, chory zdawał się uspakajać stopniowo
pod wpływem narkotycznego kordyału cośmy go wypić zmusili.
Słońce stało już wysoko. Po nocnej burzy dzień przecudny nastą-
pił. Poczciwy Fidelio spał u nóg chorego, na podłodze. Ja drze-
małem w staroświeckim, arcy-wygodnym fotelu. Lekarz ciągnął
dalej swoje obserwacje, wpatrując się w oblicze uspiętego pacjenta.
Figeac'a nie było w pokoju.

Nie wiem, ile chwil ubiegło, gdy się nagle drzwi rozwarły i
Figeac stanął przedemną blady, pomięszany, drżący.

Na zapytanie moje, gdzie był? i co znaczyło wzruszenie jego?
nic nie odpowiedział, choć widno było, że chciał przemówić. Coś
mu pierś ścisnęło i mowę zaparło.

— *Pauvre enfant!* — wymówił w końcu, jakby przezwycięża-
jąc siebie — i łzy mu z oczu trysnęły.

— Co z tobą? Co się stało? — zapytałem pełen trwożnego
podziwu, albowiem pojąłem, że zdarzenie co taką naturę do łez
pobudziło, musiało być rzewnem i boleśnem.

— *Pauvre enfant!* — powtórzył Figeac z wzrastającym wzru-
szeniem. Gdybym dożył lat matuzalowych, niezapomniałbym ko-
nając, tego com widział. — O biedna! biedna Graziella!

— Graziella? — rzekłem, przypomniawszy sobie, że takie
było imię narzeczonej Aleksiejewa. — Cóż się z nią stało? Mów!

— Co się stało? — Głos jej dźwięczny już umilkł na wieki!
Szkarałaty jej lica pobladły! Promienna źrenica zamierzchła! i serce
zakrzepło! *Pauvre enfant!* — Z tyłu wdzięków, przymiotów, uczuć
i nadziei, cóż zostało? — Trup niemy i chłodny! — Umarła!

Aleksiejew nie słyszał tych słów Figeac'a, bo nie mógł sły-
szec. On spał snem sztucznym, snem głębokim, do śmierci po-
dobnym. Lekarz nie przestawał wpatrywać się w jego oblicze.
Lecz słowo „umarła“, którem Figeac swoje smutne sprawozdanie
zakończył, wzbudziło do tyła ciekawość jego, że powstał spieszenie
i zbliżył się do nas.

Mimo pozornej obojętności swojej, był on, jakby na przekór egoistycznej natury wyznawców Eskulapa, człowiekiem sercowym i tkliwym. Przyjął wiadomość o śmierci Grazielli z bolesnem przeżeniem, które się cieniem żalobnym na twarzy jego odbiło. Nie znał jej, lecz wiedział czem była i jaką była; wiedział przytem że jej życie zaledwie z pączka wiosennego rozkwitłe, miało prawo poić się długo jeszcze balsamem nadziei, istnieć w jasnych promieniach miłości, rozwijać światu swe różane barwy i kształty ponętne. Wiedział nakoniec, że niedawno, prawie przed chwilą, życie to pałało całą pełnią wrażeń i błogości — było uroczą rzeczywistością, prawdą, pełną pociągu i czaru. — Czemuż tak nagle zagasło? Zkąd wypadł ten grot co je rozkruszył? Dla czego wypadł?...

Takie były pytania zacnego lekarza, gdy nieco ze wzruszenia swego ochłonął. Odpowiedź Figeac'a była następną:

— Ponieważ wiedziałem — mówił on — że mój biedny przyjaciel bawił do późna w domku swej narzeczonej, pobiegłem tam, w nadziei, że znajdę rozwiązanie tajemnicy, której nie umieliśmy wythumaczyć sobie. Nie było żadnej gondoli u brzegu, bo wiatr dął mocno i poruszał wodę kanałów. Musiałem robić krąg daleki, przez uliczki i przesmyki, pełne jam i wertepów, posród których sam djabeł skreśliłby szyję, albo zbłądził. Nie wiem prawdziwie, jakim cudem uniknąłem tych dwóch nieprzyjemności. *C'est le secret du destin.*

Nie jestem ja — ciągnął dalej Figeac — łatwym do przyjęcia trwożliwych wrażeń, bo natura dała mi duszę męzną i nerwy ze stali. Przecież w miarę tego jakim się zbliżał do mety, czułem w sobie wzmagającą się niespokojność i obawę. Nie domysł dręczył mię, lecz pewność trapiła. Ja, com błądził samotnie w pampach kordylierów, szydząc z pytonów i zaguarów; com tygrysom i panterom puszczy malabarskich śmiało w oczy zaglądał, drżałem prawie jak dziecko ze strachu i strach ten przenikał mię na wylot. Kiedym stanął w obec domku Grazielli, całej użyć musiałem potęgi woli, żeby się doń przybliżyć i spojrzeć do wnętrza jego przez okienko otworem zostawione.

I cóż ujrzałem, o Boże! — Boleść, nieład zamieszanie!

Signora Ottavia klęczała przed wizerunkiem Madonny, załamując rozpaczliwie dłonie. *Franceska*, wierna *cameriera* Grazielli, rozlewała się łzami i jękiem boleści. Dwie jakieś niewiasty, nieznanne mi wcale, lecz widocznie domowe, nie obce, unosząc się głośnie łąkaniem, krzętały się gorliwie w celach ratunku koło bezwładnego

ciała tej, co tak niedawno jeszcze była krasą Wenecyi. światły ideał podwójnego wdzięku, duszy i postaci, sobą urzeczywistniała!

Siła jakaś tajemnicza, nieprzewyciężona, pchnęła mię do wnętrza domku. Wbiegłem — spojrzałem na Graziellę, i poznałem niestety! że czczą była usilność pocziwych niewiast, albowiem nie już nie było w stanie wyrwać ze szponów śmierci jej zdobycz kosztowną; nie było takiego środka na ziemi, coby ją ożywić zdołał! Bo, na tych licach, jakby letargiem pokoju owianych, było coś takiego, czem śmierć tylko oblicze obleka! coś takiego, na co braknie wyrazów, a cośmy piętnem wieczności mianować przywykli, bo jakże nazwać inaczej? . .

Pauvre enfant; — Leżała na swojej maleńkiej sofce oparta głową o poduszkę. Wyraz ust był bolesny, i słodki razem. Widno cios, pod którym uległa, był niespodziany, nagły. Poraził ją odrazu, nie zamąciwszy uroczej harmonii rysów, przed chwilą jeszcze błogiem uczuciem szczęścia i pokoju ożywionych!

Ta sama siła co mię do niej przywiodła, kazała mi ukłknąć przed nią, i westchnąć za jej duszę do Boga. Pacierza nie miałem żadnego. Modliłem się więc *à ma manière*, podniesieniem uczuć i myśli. — *C'est toujours ainsi que je prie.*

Signora Ottavia postrzegła mię, i powstała. Potem zbliżyła się do mnie, i rzekła słowy przerywanemi łkaniem:

— Jużes raz wyratował życie mojej biednej Grazielli — wyratuj i teraz!

— Nie, nie, odpowiedziałem — bo cóż miałem odpowiedzieć?

— Milczysz? rzekła wtedy — O! czemuż niemym jesteś i obojętnym wobec takiego nieszczęścia! wobec mojej boleści! Patrz! patrz *Signor*! wszak to nie śmierć? nieprawdaż? To omdlenie tylko — to może letarg — chwilowa niemoc po gwałtownem wstrząśnieniu duszy? — Mów *Signor*, że mam rację! że się nie mylę! że ona żyje! żyć będzie! Niedawno jeszcze, brzmiało słowo w jej ustach; promieniła się żrenica, i oddech swobodny jej łono poruszał. Przed godziną, była pociechą starości mojej! chlubą i szczęściem życia! — Przed godziną . . . ach! sama nie pojmuję, co się stało? jak? i dla czego? — *On* był u niej. Słyszałam z mego pokoiku rozmowę ich spokojną i niewinną. Tworzyli sobie plany pożycia — rozporządzali swoją przyszłością — sprzęgali doczesność na wieki. A jam cieszyła się ich zgodą i błogością sercową. — Oblekałam starość moją w ich sny promienne i nadzieje. Młodniałam w ciepłym tchnieniu czyściej ich miłości, świętej przed ludźmi i Bogiem! Późno już było —

późno — byłam niezdrowa — położyłam się trochę, i zasnęłam. Ile chwil ubiegło, nie wiem — krzyk nagły Grazielli zbudził mię, i przeraził. Coś ciężkiego upadło na podłogę. Zerwałam się z łóżka, i pobiegłam. Drzwi pokoiku były otwarte. Wiatr szumiał przez otwarte okienko, i noc wkraczała do wnętrza. Graziella leżała na ziemi! leżała z ręką na sercu! leżała bez ruchu i głosu! Co się działo ze mną? pojdziesz! Jakem ją gorliwie trzeźwiła, cuciała, wzywała łą, jękiem i wołaniem; zrozumiesz! Pojąć nie mogłam tego strasznego zdarzenia. Powodu nieszczęścia dotąd się nie domyślam. Czemu On ją opuścił? Czemu ona krzyknęła? Czemu upadła bez zmysłów . . . może bez życia!?

Taką była relacya pocziwego Figeac'a — ciągnął dalej pułkownik Bürno — Graziella umarła. Serce pękło, i duch jej przeczyty uleciał w niebiosy!

Figeac uwiózł Aleksiejewa z Wenecyi, do rodzinnego zamku jego. Stary Fritz żył jeszcze. Stan Aleksiejewa był nader smutny. On istniał wegetacyjnie, jak drzewo, lub roślina. Duchowego życia w nim nie było. Jadł, kiedy go karmiono; spał, kiedy go położono. Na żadne pytania nie odpowiadał; żadnej swej chęci nie objawiał. Nie wiedział gdzie jest, z kim obcuje, czego chce, lub nie chce. Słowem, bierność martwa dotknęła wszystkie jego władze moralne, a nawet i fizyczne, bo nie zdawał się czuć żadnego bólu, choć ten ból musiał istnieć, i być dotkliwym.

Pocziwy Figeac i Fritz podzielili pomiędzy siebie całą staranność o chorym. Poświęcili się całkiem opiekuńczemu posłannictwu swojemu. Gorliwość ich nie miała granic jak i szlachetność ich serca. Figeac wyrażał najwyższe zalety wiernego przyjaciela — Fritz, wiernego sługi. Obydwa byli narzędziem boskiego miłosierdzia, albowiem oni to dowiedli, że w rok niespełna od daty wyjazdu z Wenecyi, Aleksiejew powrócił do zdrowia, chociaż nigdy już do dawnej umysłowej pogody nie powrócił, nigdy się z kiru sercowego nie otrząsł. Dawną towarzyskość jego zajął humor drażliwy i odludny. Na pierwiastkową jego wiarę w ludzi, osiadła rdza podejrzania i wstrętu. Bywały chwile takie, w których Figeac'a nawet i Fritza widział niechętnie przy sobie. Zwyczajem jego było wtedy, błądzić samotnie po komnatach i galeryach zamku, w ciemnym orszaku dum i pamiątek, co gdyby harpje męczeństwa ścięły go natrętnie; albo zstępował do grobu matki, gdzie na pogrążeniu się w sobie samym i na modlitwie długie trawił godziny. Słyszano nieraz wśród nocy jęk jego przeciągły i słów urwanych brzmienia roz-

paczliwe i nieme łkanie wiecznej jego boleści. Bywały jednak i jaśniejsze chwile. Zdawał się wtedy spokojnym, prawie niepomnym przeszłości. Na czole niósł więcej pogody, na twarzy więcej wyrażał rezygnacyi i pojednania z sobą samym — i na świat uprzejmie spoglądał.

Wiek i znój żywota spadły ciężkiem brzemieniem na biednego Fritza. Zachorował obłożnie. Sprowadzeni lekarze nieomieszkali, ma się rozumieć, zagaic uczone *consilium*, z którego na podstawie tejże nauki, rażna sprzeczność zdań i poglądów djagnostycznych wynikała, co i było powodem, że nałykawszy się specyfików niezgodnej natury, a tem samem szkodliwych, pacjent ujrzał się wkrótce bliskim śmierci. Wtedy to przywołał on do siebie Aleksiejewa, i przemówił doń w ten sposób:

— Panie mój! — Przebacz słudze twemu, albowiem ciężko względem ciebie przewinił!

— Wszystko coś ucierpiał w ciągu życia twego — wszystkie ciosy jakich doznałeś, były skutkiem jednej chwili, którą ja nieszczęsny wywołałem! którą dziś, umierając, oplakuję! z której się przed tobą panie i przed Bogiem spowiadam!

— Tak, jam był sprawcą twych przeszłych i obecnych cierpień; bom wymógł na tobie występłą przysięgę zemsty, i to w obec wizerunku Zbawiciela, który nauczał pobłażania i miłości, i swoim nawet mordercom na krzyżu przebaczył.

— Jam więc, nieszczęsny, doprowadził ciebie panie! do grzechu wielkiego! Jam zatrął życie twoje! jam zgubił ciebie!

— Przebacz umierającemu — a Bóg i tobie przebaczy!

Oddawszy ostatnią posługę wiernemu słudze, Aleksiejew powierzył zarząd swego majątku poczciwemu Figeac'owi, którego serca i zaerności doświadczył, a sam zniechęcony życiem, postanowił szukać kresu onego na polu bitwy. Sławny Jermołow był wtedy wielkorządcą Kaukazu. Aleksiejew stanął pod jego chorągwiami; odznaczył się w kilku wyprawach i szturmach; gdzie mógł, stawiał swe życie na wabank! słowem, był najmężniejszym pośród mężnych, bo też był i najnieszczęśliwszym. Jermołow lubił go i cenił; dawał mu stopnie i ordery; w końcu za wyłączone odznaczenie się w boju, przetransferował go, z rangą pełnego rotmistrza, do konnych strzelców cesarskiej gwardyi, z którym to pułkiem rozbił turecką kampanię 1828. roku pod dowództwem feldmarszałka Dybicza. Po zawarciu adryanopolskiego pokoju, Aleksiejew, nie mogący obejść się bez wojny, znowu powrócił na Kaukaz, gdzie od tej pory zostaje.

CZY JEZUICI ZGUBILI POLSKĘ?

II.

(Ciąg dalszy).

Dla czego uczono tyle łaciny. — Klasycy w szkołach dzisiejszych i jezuickich. — Zarzuty względem zaniedbania historii, literatury i umiejętności ścisłych. — Kilka uwag nad nowym systemem naukowym (pruskim). — Scholastycezm i Jezuiti. — Prace naukowe Jezuitów. — Strona moralna edukacji jezuickiej. — Emulacya, koncertacye i kongregacye. — Popisy, dyalogi, sądy prawne, dysputy. — Zarzuty bigoterji, szpiegowania i kar cielesnych.

Nic zaś nie jest niedorzeczniejszego, jak owe krzyki „Jezuici tylko Alwara uczyli.“ Czy ci panowie znają Alwara gramatykę? Podobne pytanie zadałem kilku jegomościom, którzy na metodę uczenia Jezuitów a szczególnie na Alwara powstawali, i rzecz wcale pocieszna, odpowiedzieli, że nawet jej nie widzieli, ale tylko słyszeli z opowiadania. Otoż ci co opowiadają, odwołują się jedni na drugich — a nikt z nich, zaręczam, nie zna gramatyki Alwara, bo kto ją zna, ten na nią nie będzie powstawał. Odchodząc z gimnazyum, pożegnałem się z jednym z moich profesorów, człowiekiem uzdolnionym, który łacinę, grekę i historję w wyższych klasach wykładał. Zastałem go właśnie nad książką. Była to Alwara gramatyka. Zdziwiony pytałem w jakimby celu okrzyczaną Jezuitę książkę tak pilnie wertował. To jest najlepsza gramatyka, odpowiedział mi, wszyscy nowsi gramatykarze albo z Alwara kompilowali, albo na nim swoje prace oparli. Po dziś dzień jeszcze we wszystkich prawie szkołach francuzkich niejezuickich, uczą z Alwara; mam pod ręką nową edycyą w 3 częściach wyszłą w Metz 1858 r.

Pierwsze trzy klasy niższe przeznaczone były do nauczania się języków — mianowicie tyle naówczas potrzebnej łaciny. Już zaś łaciny z żadnej książki nie można się prędzej nauczyć jak z Alwara. Fałsz zaś jest, że uczono tylko Alwara. I dzisiaj gramatyka łac. w 1 i 2 klasie jest pierwszorzędnym przedmiotem, poświęcano więc i wtenczas najwięcej Alwara gramatyce, tem bardziej, że w 5 i 6 klasie żadnej już gramatyki nie było, ale uczono przytem czegoś więcej. W infimie n. p. tłumaczono i analizowano „ustępy łatwe wybrane z Cicerona, bajeczki Fedra i życia sławnych mężów Nepota“¹⁾; w gramatyce „listy Cicerona, opowiadania, opisy i t. p. wyjęte z tegoż autora, komentarze Cezara i co łatwiejsze wiersze Owidiusza“²⁾; w syntaksie „poważne listy Cicerona, księgi jego o przyjaźni i starości i t. p., nadto tłuma-

¹⁾ Reg. prof. inf. classis gram.

²⁾ Reg. prof. mediæ cl. gr.

czono i opowiadano Salustiusza, Kurcyusza i Liwiusza — objaśniano elegie i listy Owidiusza, niektóre ustępy Katulla, Tibulla, Propercyusza, sielanki Wirgilego, jego piątą i siódmą książkę Eneidy i czwartą rolnictwa¹⁾. Podobnie się rzecz miała z greką. Gramatyka zamykała się w ciasnym obrębie deklinacyj, konjugacyj i główniejszych zasad składni — za to już w drugiej klasie tłumaczono bajki Ezopa i wybrane dyalogi Lucjana, a w trzeciej S. Chryzostoma, Xenofonta i t. p.

Kiedy nawet obrachujemy ściśle liczbę godzin poświęconych dzisiaj łacinie w szkołach niższych — nie znajdziemy wielkiej różnicy co do godzin. Ile sobie przypominam, w pierwszej i drugiej łacińskiej klasie tygodniowo po dziewięć, w trzeciej i czwartej po sześć godzin uczył łaciny w Austrii zarówno jak w Prusach; a w starym systemie jezuickim obracano na ten przedmiot 9 godzin tygodniowo we wszystkich trzech klasach.

Różnica jest wprawdzie o trzy godziny przez cały rok jeden — ależ za to co za różnica postępu! Uczeń z syntaxis t. j. trzeciej klasy jezuickiej umiał tłumaczyć tych autorów, których dzisiaj dopiero 7 klasy uczeń ledwo zrozumie, a mówił i pisał po łacinie tak, jak dzisiaj skończony maturzysta mówić i pisać nie potrafi.

Nie mogę też tu powstrzymać się od zrobienia jednej uwagi. Co za sens, jaki cel mają owe „ćwiczenia łacińskie“ i „greckie“ złożone z urywkowych, często niedorzecznych zdań? Podobno służyć one mają dziecku za przykład zastosowania reguł gramatyki. Ale czyż tego zastosowania nie można uczynić na oryginalnych, myśl jakąś i wątek zawierających ustępach z autorów, jak to czynili Jezuiti? Cóż dziecko zyska moralnie na owem najnudniejszym w świecie tłumaczeniu oderwanych zdań — jakież ztąd wyssie pokarm dla serca i umysłu? I owe mi „ćwiczeniami“ męczą chłopców jeszcze w 4ej łacińskiej, owszem jeszcze w 8 klasie! Nie jestże to dopiero prawa pedanterya!

Uczeń szkół jezuickich, już pierwszych początków próbował na Ciceronie, przyzwyczaił się więc do łaciny czystej, nie naciąganej żywcem do reguły gramatyki; tłumacząc lekkiego Ezopa i Fedra bawił fantazją naiwnością obrazów i dykcji, a umysł zasiliał moralną nauką bajki. Cóż dopiero mówić o doniosłości i niezrównanej wartości pod względem wykształcenia i uszlachetnienia duszy, jakie przynosi studjum klasyków²⁾.

Ja się wydziwić nie mogę bezwzględny wielbicieleom publicznego rządowego wychowania. Ktoś z pisarzy polskich, podobno p. Wojcicki, nie może się nacieszyć z komisji edukacyjnej, ustanowionej po

¹⁾ Reg. prof. supr. cl. gr.

²⁾ Nie tu miejsce rozwodzić się nad doniosłością i ważnością pod względem każdym klasycznych studiów. Odsyłam czytelnika do poważnej pracy pana Małeckiego, której tytuł: „Prelekcye o filozofii powszechnej i jej encyklopedyi.“ Krak. 1851.

pierwszym rozbiornie w 1774 roku. Polska pierwsza,¹⁾ powiada on, wyjęła edukacją młodzieży, tyle ważną dla kraju, z rąk prywatnych i oddała troskliwosci publicznej rządu. Nie wchodząc w zalety i wady²⁾ komisji edukacyjnej a zapatrując się na nią, jako na instytut rządzący wychowaniem publicznem, mówię, że w Polsce, gdzie rząd szczerze pragnął dobra poddanych, gdzie nie był wywrócony porządek: rządy dla ludów, a nie ludy dla rządów — komisya edukacyjna mogła przynieść pożądane korzyści: — ale w państwach, których rządy nie zawsze rachowały się z istotnemi potrzebami rządzonych ludów, a wychowanie do swoich naginały widoków, objęcie wychowania publicznego przez nie, nie może być uważane jak tylko za klęskę narodów, za ciężki cios zadany prawdziwej cywilizacji³⁾. Tu dopiero zarzuty obskurantyzmu, zabijania myśli, tamowania rozwoju umysłowego, zadawane Jezuitom niesłusznie, znajdują swoje usprawiedliwienie.

Cechą publicznego wychowania na całym zachodzie, jest usiłowanie wyrobienia w młodych dorastających pokoleniach wiedzy bez Boga. Postanowiono uczyć siebie i uczyć drugih, nie troszcząc się o kościół i dogmat. Owszem, na każdym kroku naukowej pracy usiłowano dowieść, że kościół był niebezpieczną dla nauki i wiedzy, zgubną nawet instytucją, że ostateczne rezultaty wiedzy ludzkiej są sprzeczne z objawieniem i pismem św.; jednym słowem, że wiedza a wiara, szkoła a kościół nigdy z sobą pogodzić się nie dadzą.— Zaszczepiają w szkołach nie już obojętność religijną, ale fanatyzm antirelijny. Obok tej cechy ogólnej wychowania publicznego miało ono, mianowicie w niektórych państwach, posłużyć za jeden czynnik więcej, w systemie wynaradawiania. — Szkoła miała wychować bezmyślnych a uległych poddanych.

Dzięki temu kierunkowi wychowania, tak przeciwnemu kościółowi i prawdziwej wolności, stało się, że umiejętnościom przyrodniczym,

¹⁾ I tu jest fałsz i przesada. Bo już 1763 parlament paryzki wydał odezwę do innych parlamentów i uniwersytetów prowincjonalnych dla ułożenia *wspólnego całego krajowi wychowania*, które nazwano wychowaniem narodowym.

²⁾ Wady wytknął Mickiewicz w Kursach lit. t 21, lek 16. „Cała ta piętrowana budowa oświaty czyli instrukcyi publicznej nie miała podstawy w żadnym dogmacie ogólnym. Naprowadzono z zagranicy dzieł, które miały służyć za elementarne etc.“

³⁾ Nawet w krajach oświeconych jak Francya, ujęcie edukacji przez rząd, było jednym więcej środkiem despotyzmu. Napoleon I. wiedział o tem dobrze, gdy w r. 1803 utworzył uniwersytet cesarski, który dozorował wszystkie zakłady naukowe w Francyi, i zaprowadził w nich jednakowość systemu. Restauracya obaliła instytucye Napoleona, ale zatrzymała uniwersytet cesarski *mutatis mutandis*.

Z tą despotyczną instytucją ciężkie potem staczał walki dziennik P'Univers, organ duchowieństwa, staczał kler francuzki i wszyscy ludzie oświeceni z protestantem Guizotem na czele, aż nareszcie r. 1850 przeprowadzono prawo o „wolności nauczania.“

które zajmując wyłącznie rozum i to w sposób najbardziej oderwany, kształcą połowę tylko człowieka, poświęcono najwięcej godzin, — gdy przeciwnie religia, historia i filozofia, które uczą myśleć praktycznie i umoralniają serce, podrzędne tylko zajmują stanowisko ¹⁾. Studia klasyczne doznały prawdziwie macoszego obejścia i wchodziło w rachubę

¹⁾ Najniegodziwiej postąpiono sobie z religią. Ma ona w myśl planu szkolnego zastąpić w części zaniedbane studia filozoficzne. Pietnasto-szesnastoletnim tedy chłopcom dowodzą „z rozumu, wewnętrznego przeświadczenia i powagi ludzi,“ że jest Bóg, że odkupienie było potrzebnem, że cuda są możliwe, i w ten sposób powątpiewająco badający przechodzą z nimi wszystkie dogmata wiary, nie podawszy im pierwszych zasad loiki. Ma też to sens jaki! Cóż się tedy dzieje? Młody chłopiec rozumujący o najważniejszych kwestiach wiary, i pod krytykę swego rozumu podciągający dogmata religijne, nabiera z jednej strony zarozumiałości bez granic, a z drugiej popada w sceptycyzm, to półłączone a niebezpieczne powątpiewanie, które zabija wiarę. Ten fałszywy krytycyzm graniczy o miedzę z owem „*liberum examen*“ protestantyzmu, który w łonie jego wywołał tyle wiar ile głów, a przeniesiony do szkół katolickich, pociągnął za sobą niewypowiedziane szkody, bo ani zdołał wszczepić miłości i przywiązania do wiary, ani przekonał ucznia, że tak, a nie inaczej ma wierzyć, i dla czego tak wierzy. To też zbieramy już owoce tego sprofanowania religii w szkołach. Młodzież szkolna z cynicznym niedowierzaniem słucha wykładu swojego katechety, którego przezwała „katabasem“ to ma znaczyć wstecznym zacofanym człowiekiem — gdy przeciwnie profesorów dowodzących, że Chrystus Pan był filozofem z Nazaretu, że odpusty jubileuszowe były jarmarkiem papieżkim, że człowiek nie różni się od małpy, i t.p. absurda, nazywa światłemi, postępowemi. Ja się temu wcale nie dziwię. Skoro rządy i sejmy, przyjęły najniedorzeczniejszą w świecie, bo sprzeczną z naturą człowieka i tradycją dziejową, zasadę bezwyznaniowości wychowania — wykład jakiegokolwiek religii w szkołach jest nieloiką, sprzecznością, z której nie dadzą się inne jak tylko najfałszywsze wyprowadzić wnioski.

Z historią powszechną, której sumienny a umiętny wykład najbardziej rozwija umysł, uszlachetnia i zdobi serce, i silne, wielkie, tworzy charaktery, popełniono prawdziwe świętokradztwo. Miała ona, z jednej strony usprawiedliwić popełnione gwałty i wyrządzone krzywdy — a z drugiej miała służyć za walny taran do tłuczenia murów kościoła, za pole do popisywania się liberalizmu i zasad postępowych samychże nauczycieli.

Pützta protestanta dzieło, używane długi czas jako podręcznik w pruskich i austryackich szkołach, wybornie odpowiadało wykładom, które miały być spazczeniem i wykrzywieniem dziejów. Napisane sucho i bez namaszczenia, zestawiając same wypadki historyczne, nie podając ani klucza wypadków, ani ich doniosłości dziejowej, ani nawet ogólnego, wyższego a trafnego na rzeczy poglądu — zostawiało prelegentom najzupełniejszą swobodę wycieczek na kościoł lub narodowości. Jakoż korzystano z tej swobody. — Stosunkowo do nowszej za obszernie opracowana historia starożytna, gubiąca się w nieskończonem wliczaniu bożyszcz, świątyń, obrzędów starych ludów, co ani kształci ani podnosi umysłu, ani w pamięci nawet długo nie pozostaje; nowszą zaś historię ograni-

tego wynaradawiającego systemu zamienić je na najnudniejsze w świecie pedanckie rzemiosło.

Gramatyka nie ustaje nawet w najwyższej klasie, gramatyką i ćwiczeniami w niższych, gramatyką i żmudną bez celu i sensu filologią¹⁾ w wyższych klasach dręczą i suszą umysł chłopców, a co przez sześć lat przeczytają z autorów, to doprawdy wystarczy, aby uczniowie na zawsze sobie zobrzydzili „łacinę i grekę,“ ale studium klasyków nazwane być nie może.

Nie tak pojmowali Jezuci studium klasyczne. Uczyli wiele łaciny, aby młodzież mogła czytać z przyjemnością i pożytkiem klasyków łacińskich. A najprzód z przyjemnością, bo niechętnie i gwałtem prawie czyta się choćby najpiękniejsze dzieło, ale pisane w języku, którym się jeszcze nie włada doskonale. I dla tego z takim wstrętem biorą się dzisiaj uczniowie klas wyższych do czytania klasyków — i nadto bardzo nie wiele co przechodzą z profesorem w szkole, nie więcej nie czytają w domu. Nie ma też u nich znajomości klasyków żadnej.

Powtóre z pożytkiem. Niech mówią co chcą mędrcy szkoły jakiejś pseudo-romantycznej — zawsze zostanie niezbitą, wiekami stwierdzoną prawdą: że studium klasyków jest podstawą prawdziwego wykształcenia młodzieży. Mówię pseudoromantycznej, bo ojciec romantyków pol-

czono głównie do niemieckiego państwa a zamknięto ją u wstępu do rewolucji francuskiej. To też uczniowie umieją opowiadać „skandaliczne“ (sic) czyny Papiieżów — deklamują o „ciemnocie“ średnich wieków — a pojęcia nie mają o znaczeniu takich traktatów jak n. p. traktat westfalski.

O filozofii nie ma i co wspominać. Została tylko nazwa, która figuruje w planie szkolnym i w zaświadczeniach. Tak zwana loika ogranicza się na podaniu kilkunastu pojęć o władzach i czynnościach duszy, psychologia zaś jest raczej fizycznym objaśnieniem wrażeń i uczuć, jakich dusza doznaje, a niżeli filozoficznym badaniem. To też profesorom zostawiona wolność systemu i metody — uczniom wolność nieuczenia się niczego. Mógłbym dla ilustracji wiele pociesznych o tem opowiedzieć rzeczy.

Piszę to zaś dla tego, aby zwrócić uwagę tych, którzy idąc za p. Kabatem, dowodzącym na jednym z posiedzeń sejmowych (roku 1865) doskonałości szkolnego planu „*jurant in verba magistris*“ i w niebo głosy wołają, aby publiczne, rządowe wychowanie rozciągnięte zostało na wszystkie a wszystkie zakłady naukowe. Sto lat germanizacyi, sto lat moskwiczenia przez szkoły nie zdotało im otworzyć oczu. Doprawdy zastosować do nich można dwuwiersz poety:

Oną sobie przypowieść kiedyś Polak kupi,
Że i przed szkodą i po szkodzie

¹⁾ Filologią! bodajby to zawsze filologią grzeszono. Na pewnym gimnazjum w 8 klasie tłumaczono list Horacego do Pisonów „*de arte Poetica*.“ List ten zaczyna się od słów: *Humano capiti cervicem pictor equinam jungere si veliit*. Otoż profesor filolog pyta ucznia filologa: co w tem zdaniu podmiotem a co orzeczeniem? W podobny sposób analizowano list cały, i to, proszę dobrze uważać, w myśl programu szkolnego. Pytam, czy można to nazwać studium klasyków?

skich, Mickiewicz nie byłby Mickiewiczem, gdyby nie był tak czytany w klasykach, gdyby nie studiował ich na akademii wileńskiej i nie umiał ich objaśniać na akademii lozańskiej; podobnie jak Naruszewicz nie stałby się u nas ojcem krytycznej historii, gdyby nie przyswoił sobie ducha i stylu Tacyta i obce mu były roczniki Liwiusza. Szkoła romantyczna nie wyklucza studyów klasycznych, owszem niemi się posługuje i miarkuje w swoich młodzieńczych zapędach. Pożycza przedewszystkiem od nich powagi i wykończonej formy. Ież to precudnych pomysłów geniuszu Słowackiego zmarniało jedynie dla tego, że Słowacki klasyków łacińskich znał coś nie wiele, a greckich nie znał wcale, jedynie z francuzkich tłumaczeń. Przesadna fantastyczność, jaskrawość o brazów, brak związku między pojedynczemi scenami dramatu, trzy główne wady utworów Słowackiego, mają swoje źródło jedynie w tej nieznamomości klasyków. Wczytawszy się w Krasieńskiego, trudno nie dostrzedz, że klasyków znał i pojął doskonale. Schiller i Goethe, koryfeusz romantyków, przejął się na wskroś duchem klasyków, który przebija w każdym znakomitszym ich wierszu. Wykończoność szczególnie formy, cechująca utwory Mickiewicza i Schillera i tyle uroku i wdzięku im nadająca, ta żywcem wzięta jest od klasyków¹⁾.

Romantycy więc nie lekceważą studium klasycznego i wszyscy fachowi mężowie wielką do nich przywiązują wagę — tylko niedo-warzone umysły, półmędrki i wierszoklety, tylko ci powstają na klasyków, a za ich krzykiem idzie łatwowierna większość Polaków i pyta: poco w szkołach jezuickich tyle łaciny?

Autorów więc klasycznych czytali pilnie jezuicki uczniowie; czytali ich nie tylko w latach szkolnych, ale i w dojrzałym wieku, szczególnie długie chwile niedoleżnej starości zapełniali owem miłem i użytecznem studium.

Taka znajomość literatury klasycznej była wtenczas w Polsce i całej zachodniej Europie koniecznym warunkiem wykształcenia, tak jak teraz francuski i angielski język i znajomość nowszej literatury stanowi integralną część wyższej edukacji. Już z tego tylko powodu musieliby Jezuiciłożyć szczególne staranie na literaturę starożytną. Ale dbając o wykształcenie usuwali troskliwie to, co w klasykach mo-

¹⁾ Wyższosc umysłowa Francuzów, pochodzi właśnie z obszerniejszych studyów klasycznych na liceach.

U nas w Polsce zwracają się teraz do starych klasyków. Pan Małecki ogłosił r. 1851 drukiem swoje: „Prelekcye o filologii klasycznej i jej encyklopedy“ miane w półroczu letniem 1850 r. w Krakowie. Przez filologię rozumie on to samo co i ja nazwałem studium klasyków: „Umiejętne przedstawienie i odbudowanie kształtów życia i świata starożytnego pod każdym względem tak ze strony politycznej i praktycznej jak umysłowej i literackiej.“ Poczęto od przekładów starych Greków. Antygonę i Edypa tłumaczyli (1851 roku) Kruszewski i Smaszczniński. Pan Szujski przełożył kilka dramatycznych sztuk Sofoklesa i zajął się obszerniejszem studium literatury starożytnej.

ralności uczniów groziło niebezpieczeństwem i więcej szkody niż pożytku przynieść mogło.¹⁾

Jak zaś Jezuita zadanie humaniorów pojmuwał, wypowiada to wyraźnie ratio studiorum. „Stopień tej szkoły, mówi pierwsza reguła profesora retoryki, nie łatwo da się oznaczyć, albowiem sposobi do doskonałej wymowy, która dwa wielkie działy oratoryczny i poetyczny zawiera i służy nie tylko ku pożytkowi, ale też poświęca coś i ku ozdobie.“²⁾ Jednak, powiada „ratio“ dalej, ta doskonała wymowa zdaje się być objętą trojgiem rzeczy: prawidłami wymowy, stylem i erudycją.³⁾

Prawidła wyjęte być mają z Cicerona, Kwintyliana i Arystotelesa: — styl jedynie z Cicerona a przedewszystkiem z mów jego; erudycya zaś czerpaną ma być z historyi, obyczajów ludzi, z powagi pisarzy, i z wszelakiej nauki, ale nie nadto wiele i stosownie do poję-

¹⁾ Jezuita zachowali tu ową złotą środkową drogę. Unikali dwóch ostateczności — jednej, która klasyków dla tego że są pogańskimi, zgoła nie chce dać w ręce młodzieży — drugiej, która, bez wyboru, wszystkich starych autorów czytać w szkołach pozwala. Jezuita nie tak; co tylko w tych pisarzach nie było wręcz przeciw moralności — wszystko zachowali i wierne nietknięte uczniom do czytania oddawali. Ztąd prozaicy: Cicero, Liwiusz, Tacyt, Salustyusz, Cezar: Nepos i Kurcyusz; poeci Wirgiliusz elegie i fasti Owidiusza bez żadnej zmiany obiegały w rękach jezuickich uczniów. Inaczej być musiało z Horacym, Propertycuszem, Tybullem, Juwenalisem i metamorfozą Owidiusza — te książki tylko przejrane i oczyszczone z plugastw dostawały się uczniom. Oryginalnych kompletniejszych egzemplarzy trudno było znaleźć. Jezuita wyszukiwali i zamykali je troskliwie w szafkach biblioteki, na których stał napis: libri sub indice.

Autorowie ślizcy i niemoralni jak Marcialis — de arte amandi Owidiusza i t. p. wymazani byli z kompletu klasyków szkolnych. Panowie literaci chcą ztąd wyprowadzić wniosek, że Jezuita lękali się dawać klasyków w ręce młodzieży, aby ta nie stała się zbyt mądrą — ale za to sami szkolne książki układali. Byłyto pisane „kiepską“ łaciną „cudacze“ dialogi lub „sądy prawne“ — lub „utwory osób klasztornych, które nad tem pracować się zdały, jak przytłumić i spaczyć rozsądek.“

Panowie ci zapomniają, że i dzisiaj w bardzo skąpych i małoznacznych wyjątkach czytuje młodzież szkolna klasyków — snać się więc i dzisiaj obawiają, żeby ta młodzież nie stała się zbyt mądrą. — Co do książek szkolnych, których autorami Jezuita, fałsz jest, że zastąpić one miały w szkole klasyków, fałsz jest, że pisane były kiepską łaciną, fałszem jest, że tłumili i krzywiły rozsądek. Dzieła Jezuitów celują wszystkie wyborań łaciną, bez względu na epokę czasu. Jeżeli nauczyciele odznaczali się dobrą łaciną, jakżeż mieli uczyć „kiepskiej“ łaciny? Jest to psychiczne niepodobieństwo. Cudaczność dialogów, zgubność sądów prawnych znajdzie na innem miejscu odprawę.

²⁾ *Ad perfectam enim eloquentiam informat, quae duas facultates maximas, oratoriam et poeticam comprehendit, nec utilitati solum servit, sed etiam ornatui indulget.*

³⁾ „Praeceptis dicendi, stylo et eruditione.“

cia uczniów.“ Że nie zapomniano i o filologicznych badaniach, dowodzi reguła I-a profesora poetyki, która nie radzi zapuszczać się w zbytnią analizę, aby snąć nie ucierpiało na tem badanie właściwości języka.¹⁾

W dwóch ostatnich więc klasach łacińskich, gramatyką nie trudzono uczniów,²⁾ zajmowano ich głównie czytaniem autorów, zwracano ich uwagę na właściwości języka, ale więcej jeszcze na oratorskie zalety i poetyczną piękność, na wzniosłość i szlachetność myśli — rozkładano przed oczyma młodej duszy owe bogactwa talentu, uczucia, natchnienia, estetycznego piękna i moralnej godności, w które tak obfitują dzieła starożytnych. Żeby dać jakąś podstawę owym wszechstronnym badaniom, wykładano prawidła wymowy i form poetycznych, jakie zostawili nam starzy retorowie i filozofowie, a które dotąd żadną teorią lepszą nie zostały zastąpione. Proszę dobrze uważać: prawidła form poetycznych, a nie prawidła poezyi. Jezuitci pojmowali poezyą, jak my ją dziś pojmujemy, że jest natchnieniem, wzniosłym nastrojem ducha od natury już danym, niewywolalnym żadną pracą lub nauką. „Poeta nascitur“ było ich, jak wszystkich starych maksymą. Ale wiedzieli też i to, że aby umieć dobrze ocenić wartość dzieł poetycznych, potrzeba wyrobić sobie pewne i stałe o poezyi wyobrażenia, według których sąd wydać można; wiedzieli, że obznajomiony z temi prawidłami uczeń, z większem zadowoleniem i lepszym smakiem rozczytywać się będzie w poetach — a jeżeli uczniom zalecali składanie rymów, chwalili ich próby poetyckie, to nie czynili tego w tym celu lub przekonaniu, że wszystkich przetworzą na poetów; ale, że uczniowie tym sposobem i właściwości języka lepiej poznają i władze ich umysłowe prędzej się rozwijają.

Jezuitci nie byli tak głupimi, jakimi ich chcą mieć i za jakich udają ich nowsi literaci: świadomi byli celu każdej nauki, którą dawali i wcale nie żywili w sobie zachcianek zpoetyfikowania (przepraszam za nowy wyraz) swoich uczniów. Czemuż tedy naśmiewamy się dzisiaj z wierszydeł jezuitckich? Zapominamy tu znowu, że to były inne czasy, inne zwyczaje, inne wymagania naukowe — i potępiamy bezwzględnie.

Dzisiaj Jezuitci nie zarządzają szkołami polskimi — a przecież jakimże to mnóstwem prawdziwych wierszydeł i lichych ramot obrzuceni jesteśmy. Lada młokos rymy składa, drukuje i drogo sobie płacić każe. Manija wierszowania jest dzisiaj równie a może bardziej jeszcze powszechną, jak za osławionej epoki jezuityzmu — a przecież nie kładziemy jej na karb szkół i nauczycieli — czemuż tej wyrozumiałości

¹⁾ „*Eruditio modice usurpetur ut ingenium excitet interdum ac recreet non ut linguae observationem impediatur.*“ Reg. 1. prof. humanitatis.

²⁾ Zapomniałem o „prosodii.“ Jest to z dwustu hexametrow złożona książeczka obejmująca prawidła prozodyi łacińskiej. Tę trzeba było umieć jak pacierz na pamięć. Uczono się codziennie po kilka wierszy — a owocem tej pracy było czyste, bezbłędne wygłaszanie łaciny, którego dzisiaj nie szukaj u młodzieży.

dla Jezuitów mieć nie chcemy? Ale z tymi Jezuitami z dziwną jakąś sprawiedliwością postępujemy — wszystkie ich zasługi, które sami im przyznajemy, nie mają w obec sądu naszego żadnej wagi — a za to wszystkie ujemne strony ówczesnego społeczeństwa polskiego winie Jezuitów przypisujemy, nie wchodząc wcale, czy słusznie lub nie i dla tego bezwzględnie ich potępiamy.

Sądzę, że już podobno jasna rzecz każdemu, dla czego Jezuici tak wiele łaciny uczyli — i jak pojmowali czytanie autorów. Nie ograniczając się na badaniach filologicznych, usiłowali przedewszystkiem kształcić serca młode i rozwijać umysły na onych niezrównanych wzorach dobrego smaku, wybornego stylu, przesłicznej dykcji, pełnej, silnej, wzniosłej nieraz i głębokiej myśli.

Teraz co do innego zarzutu. „że mało przedmiotów w szkołach wykładano“ odpowiedź bardzo łatwa. Najprzód, kiedyż to historia i owe nauki przyrodnicze, fizyka, naturalna historia i matematyka rozwijać się i kwitnąć zaczęły? W których to szkołach, w którym kraju udzielano takowych w wiekach XVI, XVII i XVIII? Tu znowu popełniamy jawną niesprawiedliwość względem Jezuitów. Wszak historia powszechna tak jak ją dziś pojmujemy, jako umiejętność krytycznie i źródłowo opracowana, jest dopiero plodem drugiej połowy XVIII wieku; a co się tyczy historii polskiej, to ta dopiero wyszła na świat przy rozbiorze kraju a napisał ją jezuita Naruszewicz, który i tę rozległą erudycją i ten krytyczny rozum i tę pilność żelazną zebrał i wyniósł z zakonu. Dotąd ani my Polacy, ani uczona Europa nie znaleźmy historii, tylko kroniki mniej więcej krytyczne, nieraz popobne do Herodota zmyśleń.¹⁾ W żadnych więc szkołach, czy one zostawały pod zarządem akademij nawet tak głośnych jak sorbońska, czy prywatnych korporacyj i osób — w żadnych nie uczono historii. Nawet na samych wszechnicach nie znano wydziału ściśle historycznego. Historia zajmowała wtenczas taki stosunek względem literatury i prawa, jaki dziś zajmuje geografia względem historii.

Dzisiaj geografia jest objaśnieniem i dopełnieniem historii — wtenczas historia służyła do objaśnienia autorów i do uzupełnienia cywilnego i kościelnego prawa. Z jakąże tedy słusnością gniewamy się na Jezuitów, że w szkołach nie uczyli historii — kiedy jej jeszcze nie było, kiedy jej nigdzie jako osobnego przedmiotu nie uczono? Albo może żądamy od Jezuitów, aby oni pierwsi stworzyli historią? Nic niedorzeczniejszego nad podobne wymagania. Żądać żeby Jezuici wyprzedzili wiek swój, potem gniewać się, że go nie wyprzedzili i dla tego potępić ich — to niedorzeczność wielka i niesprawiedliwość krzycząca.

Jezuici pojmując historią w duchu swego wieku — działali wiele na tem polu. Nie mówię już nic o pracach historycznych zakonu, które często są czemś więcej jak kroniką²⁾ — ale ich system szkolny

¹⁾ Herodota nazwał Cicero „*Pater mendaciorum*.“

²⁾ Ogromne komentarze do historii biblijnej oparte na syryjskich, haldejskich i hebrajskich źródłach i pełne archeologicznych odkryć pisali: Belarmin, Possewin, Suarez, Cornelius à Lapide i kilkunastu innych.

nie przepomina wcale historii. „Wykład historyka, powiada 28 reg wspólnych ustaw profesorów, to ma właściwego, że w ściślejsze ma być ujęty ramy jak objaśnienie poety¹⁾. Jest tu mowa o historykach, klasykach, Liwiuszu i Tacycie przedewszystkiem. Jezuicy też uczniowie znali wybornie nietylko dzieje starożytnych ludów — ale ich zwyczaj i obyczaje.

Podobnie mają się rzeczy z fizyką i matematyką, naukami, które dopiero w tym wieku rozleglejsze przybrały rozmiary. Dzisiaj rozpowszechnił je przemysł i postęp w kierunku materyalnym. Odkąd parową maszyną zastąpiono pracę ludzi i siłę zwierząt, odkąd rzucono się tłumnie do fabryk wszelakiego rodzaju; umiejętności fizyki i matematyki równie jak wszystkie nauki politechniczne, jako najbardziej praktyczne, najprędzej i najpewniejszy chleb dające, uprawiać poczęto z szczególnem, namiętnem niemal zamięlowaniem. Ale przed stem laty nie było tak. Doniosłości i praktyczności owych nauk nie znano, wytknięto im więc w planie przedmiotów szkolnych miejsce podrzędne. Dla tego też obszerny wykład matematyki miał miejsce dopiero na pierwszym roku filozofii, a fizyki na drugim.

Ponieważ liczba przedmiotów stosunkowo do dzisiaj była małą — i na ich wykład wystarczały cztery godziny szkoły, rano dwie i po

Historią kościelną i konciliów opracowali: Sirmond, Fronton de Duc, Labbe, Hartzheim, Szoll, Neissen, Peterfi, Acosta, O. Petrowski (historią soboru florenckiego), Palavicini, historią soboru Trydenckiego tłumaczoną na arabskie przez Jezuitę O. Eliana

Historią zakonu: Orlandini, Sachini, Juventius, Cordara.

Historią powszechną: Szwartz, Turselini.

Historią Hiszpanii: Mariana.

„ Francji: Gabriel Daniel.

„ Belgii: Strada.

„ Indyi: Maffei.

„ Japonu, Paragwai, Kanady, wyspy Domingo: Charlevoix.

„ Mongołu Carstwa: Franciszek Katru.

„ Cesarstwa Wschodniego: Borgiasz Keri.

„ Cesarstwa Otomanów: Keri i Szmidt.

„ Chin i Tartary: Jan de Halde.

Historyczno-polityczny pogląd na rewolucję w Anglii i Hiszpanii: O. Józef d' Orleans.

Historią Alzacy: Ludwik Laguille.

Historią traktatu Westfalskiego, dzieło na którem uczyło się wielu mężów stanu dyplomacyi, napisał: O. Jacek Bougent.

Historią Litwy: O. Kojatowicz. — Polski: Naruszewicz.

Historią Świętych Pańskich krytyczną i poprawną: O. Bollandus i całe grono Jezuitów Bolandystami zwane.

¹⁾ *Historici et poetae praelectio illud habet poculiare, quod historicus celerius fere excurrendus; in poeta saepe oratoria paraphrasis accurate facta plurimum decet.*

obiedzie dwie, uczniowie otrzymywali codziennie pensum łacińskie lub greckie. Przyniesione nazajutrz do szkoły poprawiano starannie, wytykając nietylko błędy gramatyczne, ale nawet usterki stylu i niestosowność wyrażań, a nadewszystko oceniano oryginalność pomysłu i jasność myśli¹⁾). Zalecano uczniom aby styl, sposoby mówienia i ozdoby oratorskie klasycznych pisarzy sobie przyswajali — zwracali uwagę na budowę wiersza, na sposób argumentów i całe przeprowadzenie rzeczy²⁾). Nawet w niższych klasach nie ograniczano się na tłumaczeniu zdań oderwanych, ale łatwiejsze ustępy zamykające sens jeden cały przekładano na polskie, a to znów na łacińskie i porównywano z oryginalnym. Każdy przyzna, że takie zadania rozwijały umysł chłopca: i to też było zamiarem Jezuitów, przyzwyczaić ucznia do refleksyi i myślenia, nauczyć go dobrego smaku, wprawić w styl i łatwość wysłowienia się. Mieli też Jezuitci w zwyczaju zadawać codziennie ustęp z najlepszych autorów do memorowania, aby młoda pamięć wzmacniała się a uczeń przyswajał sobie styl autora.³⁾

¹⁾ *Reg. prof. rethoricae reg. 4.*

²⁾ *Reg. prof. rethoricae reg. 5*

³⁾ Tu nasuwa mi się uwaga, którą pragnę podzielić się z czytelnikiem. Nowy system wprowadził do szkół najniższych, 7, 8, a nawet jak w szkołach pruskich 9 przedmiotów, i kilkunastoletnich chłopców więzi 6 a najmniej 5 godzin dziennie w klasie. Wykład profesora ma być taki, że dziecko już w szkole powinno się lekcyi mózż nauczyć — w domu potrzebuje ją tylko odczytać. — Zadania w niższych klasach są dwa najwyżej trzy na miesiąc; w wyższych ledwo jedno. Pamięciowych recytowań zadawać nie ma wcale zwyczaj. Pytam, jest w tem wszystkim zdrowa loika? Ja jej dopatrzeć nie mogę. Jeżeli gimnazjum ma być szkołą przygotowawczą do szkół właściwych, wyższej techniki, prawa, teologii i t. d., to przyznaję, że konieczna jest taka mnogość przedmiotów — ale tylko w gimnazjum wyższem — w niższem zaś żadną miarą nie. Niższe gimnazjum sposobi na chirurgów, aptekarzy i bardzo podrzędnych urzędników — do czego doprawdy nie potrzeba uczyć się aż dziewięciu przedmiotów naraz.

Obarczony i roztargniaiony tyłoma przedmiotami umysł ucznia, co jeszcze dzieckiem jest prawie, nie zdoła żadnej nauki pojąć dokładnie, męczy go niesłychanie oderwana geometryja; małożyteczna, bo w zbyt ciasnych rozmiarach wykładana historia naturalna; nie umie ocenić wypadków historycznych, ani zdać sobie sprawy z eksperymentów fizyki. Dodajmy trudności łamania się z językiem wykładowym nieprzystępnym uczniom.

Jezuici mieli i tu słuszność. W niższem gimnazjum wyuczylili dokładnie gramatyki; uczeń władający już biegle językiem, rzucał w wyższych klasach gramatykę a brał w rękę autorów i czytał z przyjemnością i pożytkiem. Dzisiaj gramatyka figuruje w ostatniej jeszcze klasie — a czytanie autorów jest dla uczniów prawdziwą torturą.

Cztery godziny szkoły jedna za drugą bez przerwy nęka młody umysł i męczy fizycznie. Pamiętam, wychodząc z klasy, nieraz dla zawrotu głowy z znużenia zejść po schodach nie mogłem. Owe przerwy międzygodzinowe nie

Przystąpmy już teraz do filozofii. Jezuiti trzymali się metody scholastycznej; to wielki crimen. Nic pociesniejszego nad wyrzekania panów literatów na scholastykę. Jeden drugiego w tej mierze zdaje

wszędzie i nie zawsze chowane; a bogdajby więcej nie szkodziły moralnie jak krzepią fizycznie.

I tego pojąć nie mogę jak profesor swoim wykładem ma przedmiot nie tylko wyjaśnić, ale wpoić w pamięć dziecka; i jakiejby to wytężonej uwagi potrzeba ze strony onego chłopięcia, aby żadnego słowa profesora nie uroniło. — Są to grube pomyłki psychiczne. Pamięciowych ćwiczeń, prócz reguł gramatyki i kilku deklamacyj na rok cały, nie ma żadnych, a przecież pamięć ta w drobnym wieku najłatwiej wzmacnia się i potężnieje a tak jest potrzebną w następnych studiach. Prace pisemne tyle ważne w stylu i praktycznym zastosowaniu reguł gramatyki nie mogą przynieść pożytku, skoro rzadkiem ćwiczeniem nie nabędzie się w nich wprawy. W ogóle powiedzieć trzeba, że nowy system zaniedbuje pamięć, fantazję i uczucie dziecka, a przecie do ich rozwinięcia i wykształcenia chłopięce lata są najsposobniejsze — znów siły rozumu wytęża zbyt i przedwcześnie. Przedwczesna ciężka praca karłowaci ciało, to samo powiedzieć o duszy.

Za to tak udurczony, wymacerowany w szkole uczeń, w domu nie ma nic albo mało co do roboty. Cóż tedy będzie robił w godzinach wolnych? Od dziecka zmordowanego już samem siedzeniem w szkole trudno wymagać prywatnego studium lub rozczytywania się w pożytecznych dziełach, których zresztą nie umie jeszcze ocenić — będzie tedy baki zbijał, lub też próżniaczył, jedno naraża na szwank moralność, drugie otwiera wrota szatanowi; *otium origo mali*.

Wielbiciele tego co dzisiaj, oddajcie raz słuszość Jezuitom. System Jezuitów ma za sobą tradycję trzech wieków, wychował tysiące najznakomitszych mężów — i tu u nas w Polsce i wszędzie gdzie tylko Jezuiti szkoły mieli. — Ze szkół jezuitkich wyszli: wojsk hetmani i mężowie stanu, dwóch książąt Burbonów, dwóch książąt Rohan, dwóch książąt Montmorency. — Książęta: Farnese, Vilars, Luxemburg, Tilly, Wallenstein, Wielki Kondusz (ten uczył się sztuki fortyfikacyjnej w kolegium Bourges od jezuitckiego braciszka Dubreuil, który zostawił ciekawe dzieło o perspektywie Crétineau-Joly III 348), Spinola, Esterhazy, Richelieu, Choiseul, Polignac.

Papieże: Grzegorz XIII, Benedykt XIV i Pius VI. — Kardynałowie i biskupi: de Noris, Marza Angelo, Franciszek Salezy i Bossuet, Liguory i Fenelon, Flechier i La Rochefoucault, Huet i Fleury, Fryderyk Boromeusz i Quirini i inni.

Mężowie głośni w świecie uaukowym: Tasso, Gallileusz, Justus Lipsius, Santeuil, Kartezyusz, Kornel Kassini, Molier, Russo, Mafei, Fontenelle, Alfieri, Pompignan, Wolter, Fréron, Burke, Muratori, Biancini, Helwet, Crébillon, Mably, Buffon, Diderot. — Czytaj kto chcesz Crétineau-Joly t. 4 str. 183.

Nowy system pruski młody — nie ma jeszcze jednego wieku za sobą, a skąpo o głośnych mężów, którzyby z tych szkół wyszli. Wielbiciele zresztą, kiedy się wam podoba to co nowe, choćby dla tego że nowe, ale nie potępiacie systemu szkolnego Jezuitów, dla tego tylko, że dawny, a że wy go nie znacie.

się chcieć przewyciężyć: nawet poważny historyk Szujski rzucił garść obelg na nią. Panowie moi, znacie wy metodę scholastyczną? czyliście się według niej lat kilka? Lub postawiliście może na jej miejsce lepszą metodę Kanta, Fichtego i waszych profesorów protestanckich, z których każdy z nową występował ideą — nowy system przynosił, i ani on sam siebie, ani wy jego nie rozumieliście. Jakież rezultaty wynieśliście z tych studyów? Powiem wam: oto zawilość i płątaninę pojęć i myśli — ciemność i niezrozumiałość wyrażenia się, rozwlekłość stylu i wielomówstwo, a przytem potężną dozę zarozumiałości o sobie. Dosyć przeczytać kart kilka pism filozoficznych Trentowskiego, Cieszkowskiego i Hoene Wrońskiego. Boże, ileż tam samolubnej pretenzji do oryginalności, ukaranej srodze, jak wszelka pycha, grubemi błędami nietylko przeciw rozumowi i doświadczeniu codziennemu, ale przeciw zdrowej logice. Moznaby osobne volumen napisać samych kontradycyji. Dopieroż przypatrzeć się, jak sam mistrz biedzi się ze swemi myślami, płacze we własnych pomysłach, sili się na utworzenie słów nowych, któreby niezrozumiałe pojęcie zrozumiałe wyrażały — to doprawdy litość bierze. Filozofia nowa jest w zupełnej sprzeczności z życiem i wewnętrznym przeświadczeniem, mistrzowie w życiu zwyczajnem albo stać się muszą dziwakami — albo inaczej uczą a inaczej żyją; uczniowie zaś karmieni ową satysfakcją, że przecież zrozumieć mogą głośnego mistrza, trawią trzy i cztery lata na sluchaniu prelekcyj — i wynoszą ztamtąd bogaty zapas najmętniejszych, najdziwniejszych pojęć, lub wracają do domów rozczarowani, zawiedzeni mądrością mistrza i jego filozofii. Że tu tylko przypomnę wykłady berlińskie Hegla. To też już dzisiaj krytyka obala jeden system po drugim owych koryfeuszów nowej filozofii — a na jej ruinach wznosi się ohydna budowa büchnerowskiego materyalizmu. We Francyi wracają do dawnej dyalektyki. (C. d. n.)

WYCHOWANIE I WYKSZTAŁCENIE NIEWIAST i dzieło pani A. D.¹⁾

Rozwój lub upadek społeczeństwa zależy niezawodnie od tego, jak wychowaną i wykształconą będzie niewiasta. Zgadza się na to wszyscy bez żadnego wyjątku. Kościół wychowawszy niewiastę, wychował i chrześcijańskie tem samym społeczeństwo, ucywilizował ludy. Otóż dzisiaj rewolucya z gorączkowym pośpiechem pracuje nad tem, aby niewiastę wyrwać z pod wpływu Kościoła i ster jej wychowania ująć w swoje ręce. Wie, że tym tylko sposobem opanować może całe społeczeństwo. Zwichnąć wychowanie niewiasty, to znaczy odchrześcijanizować ludy. Wychować ją w duchu negacyjnym, to zna-

¹⁾ „Kilka słów o wychowaniu i wykształceniu niewiast naszych.“ Lwów, 1871. stronnice 257.

czy zapewnić niewiarze samowładne rządy. Wyznają to z całą otwartością tak Mazzini jak i Garibaldi, tak Saint-Boeuf jak i dziś Jule Simon. Duruy chciał im właśnie oddać przysługę i dla tego pokusił się przeprowadzić te plany, zakładając w niektórych miastach francuzkich owe osławione żeńskie licea. Wychowanie przeto niewiasty w chwili, kiedy Kościół przechodzi taką kryzys jaką spotykamy w epoce nastęcia barbarzyńców na Europę, jest dla nas katolików najważniejszą i najżywotniejszą kwestyą. Polacy — mamy się szczególnież tem troszczyć, bo na tem jakby na ostrzu miecza spoczywa przyszłość nasza. O Poznańskie niema obawy — w Kongresówce mniejsze może niż u nas w Galicyi grozi niebezpieczeństwo, chociażby dla tego, że zasady rewolucyjne nie mają tam przedstawicieli, coby mogli wywierać swój wpływ urokiem nauki — zresztą umiarkowańsi stoją jeszcze na gruncie narodowych tradycyi, a wszyscy nie mogą wiele robić. Moskwa wprawdzie pracuje i za nich i za siebie i wedle wzoru podanego jej przez zachodnich rewolucjonistów przeprowadza system wychowania niewiast, ale że to robią Moskale, to tem samem trucizna ta wielkich nam klęsk nie zada. Ale w Galicyi rzecz się ma wprost odwrotnie. Tutaj zasady rewolucyjne silniejszy wpływ wywierają nie dla tego, żeby ich propagatorowie byli mądrzejszymi od tamtych — nie, *non ce paura*, ale że mogą krzyczeć swobodnie, mają dzienniki na swoje usługi — mogą pisać do woli, ubrać to wszystko w łachman patryotyzmu, ubarwić narodowością, okolicznością ojczyzny, a w tem właśnie cały u nas sekret, aby powodzenia używać. Nie małą przytem oddaje usługę i ów zamęt pojęć jaki panuje w najzacniejszych nawet umysłach w skutek wychowania józefińskiego, długoletnich rządów biurokratyzmu i rozpanoszonego dzisiaj liberalizmu wiedeńskiego. I te rzeczy przyczyniły się także nie mało, że pojęcie o wychowaniu młodzi żeńskiej, niejasne i fałszywe, towar z zachodu, jakby narodowa perła, chętny tutaj znajduje pokup. Najlepszym tego dowodem są rozporządzenia i skład Rady szkolnej, urządzenia szkół, wychowanie panien w naszych pensjonatach. Profesorowie znani z braku religijnych zasad, owszem jawnie przeciwko nim występujący, nie tylko że uchodzą za ludzi najwyżej wykształconych, ale co więcej, udzielają w konwiktach młodym paniom lekcyi, cieszą się najlepszą opinią i nie małego używają powodzenia; ochmistrynje konwiktów, te, co więcej świegocą o demokracji, które są obojętniejsze na wychowanie panienek w zasadach religii, te, co po wykładach historii powszechnej i literatury polskiej więcej bredzą w sposób obrażający Kościół i katolickie uczucie, nie znajdują w naszych dziennikach dosyć dla siebie pochwał i poklasków! W takim więc stanie rzeczy nic dziwnego, że przysłuchujemy się bacznie, ażali nie podniesie się jaki głos nawołujący nas do trzeźwiejszego zastanowienia się nad smutnym stanem naszej żeńskiej szczególnie młodzieży. Każdą książkę o wychowaniu niewiast traktującą, bierzemy z niemałą skwapliwością do ręki. Tą razą mamy przed sobą dziełko pani A. D., wydane we Lwowie, p. t. „Kilka myśli o wychowaniu i wykształceniu niewiast naszych“. Od czasów wydania owych aglomeracyjnych prelekcji pani Dobieszewskiej, pierwsza to publikacja dotykająca tego przedmiotu, jaka się w tutejszych pojawiła księgarniach. Należy nam pomówić tutaj o niej chociażby pobieżnie.

Pani A. D. podaje nam cały wykończony systemat edukacji żeńskiej aż do lat ośmnastu, nawet dalej jeszcze, bo i „starym pannom“ podane pedagogiczne rady. Streśomy ten system.

Po wstępie bardzo skromnym a zwięzłym, rozwiązuje autorka w pierwszych czterech rozdziałach pytania: czem jest kobieta — jakie jej prawa i obowiązki — jakie odebrać winna wychowanie, aby w prawach swych nietknięta, obowiązkom dopisać mogła — w końcu gdzie szukać źródła niedostatecznej edukacji kobiet w dzisiejszej chwili? Cztery te rozdziały uważać można za prolog i założenie całego dzieła.

Pani A. D. usiłuje najpierw dowieść, że kobieta ma równe prawa w społeczeństwie, jak mężczyzna, że więc należy się jej równie wszechstronne (sic) gruntowne wykształcenie.

Otóż podobne założenie jest zupełnie fałszywe, a chcąc pozostać swemu założeniu wierną, przyszyła szanowna autorka, mimo ogromnej różnicy zapatrywań się na moralną stronę kobiecego wychowania, do tychże samych rezultatów i wniosków jak p. Dobieszewska, tj. do edukacji panien w liceach publicznych i akademiach pod kierownictwem naukowym mężczyzny.

Pani A. D. uzasadnia swoją równość praw kobiety i mężczyzny na powadze Pisma św. Cytuje nam z Genezy r. 2 w 18. „Rzekł też Pan Bóg: nie dobrze człowiekowi być samemu: uczynimy mu pomoc podobną“ — a w r. 1. w. 28: „Roście i mnożcie się i napełniajcie ziemię, a czynicie ją sobie poddaną“ — a więc wnosi autorka podobną, taką jak on, mieni Pismo św niewiastę: jej za równo jak mężczyźnie poddał Bóg całe stworzenie. I pyta autorka: „I mógł być inaczej? Mógłże człowiek poprzestać na towarzyszywie istot niższych?.....“

Pytamy autorkę, czy słowa: pomoc podobną, znaczą to samo co pomoc równą? Bóg stwarzając człowieka, rzekł: „Uczynimy człowieka na wyobrażenie i podobieństwo wo nasze.“ (Gen. 1. 26). Czy ztąd wniesie pani A. D., że człowiek równy Bogu? Autorka umie po łacinie: *simile*, to nie jedno i to samo co *aequale*, zkadźże więc równość praw? Nadto, słowo pomoc *adjutorium* ma w swem pojęciu coś podrzędnego, podporządkowanego; dając tedy Bóg mężczyźnie pomoc jemu podobną, nie odjął mu pierwszorzędnej roli — i bardzo słusznie mógł powiedzieć do obojga: „Roście i mnożcie się — panujcie, czynicie poddaną ziemię itd.“ — bo ta pomoc człowiekowi podobna, jest także osobą, istotą moralną i ma swoją osobną, ale zawsze tylko pomocniczą, a więc podrzędną działalność i za nią jest odpowiedzialną. Argumentacja więc p. A. D. jest sofistyką.

Dalej, ponieważ autorka odwołała się do Genezy, pozwoli, że i my genę zacytujemy: „Do niewiasty rzekł też Bóg... pod mocą będziesz męża a on będzie panował nad tobą.“ (Gen. r. 3. w. 16). Jakżeż z tego wyroku bożego wyprowadzić równość kobiety i mężczyzny? Szanowna autorka przewidziała zarzut i woła: „Niech nam nie mówią: Bóg zawyrokował niższość niewiasty, słowy: Pod mocą będziesz męża itd., bo ażeby słowa miały to znaczenie, które im dać chcą(!), (a wszak to Kościół tak tłumaczy — powaga boża) potrzeba było, aby Bóg całą moralną odpowiedzialność niewiasty z jej ramion zdjąwszy, na barki męża włożył“ str. 15.

Przepraszamy — słowa Pisma św. mają to znaczenie, jakie im Ojcowie Kościoła nadali — ci zaś z tych słów nie wyprowadzają równości kobiety i mężczyzny. I wcale nie potrzeba uwalniać kobietę od wszelkiej odpowiedzialności, gdyż jej uległość mężowi, a pośrednio Bogu, nie jest uległością rzeczcy ale moralnej istoty, osoby, a panowanie męża nad niewiastą nie jest pa-

nowaniem nad rzeczą ale nad pomocą sobie podobną, a więc także istotą moralną osoby. Ma tedy niewiasta swoją odpowiedzialność, jak ją mają dzieci, słudzy, chociaż także z woli Boga poddani rodzicom i panom.

Nauka ta znajduje zatwierdzenie swoje w słowach Pawła św. do Efezów r 5 w. 22—24 „Żony niechaj będą poddane mężom swym jako Panu, albowiem mąż jest głową żony... jako Kościół poddany jest Chrystusowi, tak też żony swoim mężom we wszystkim“. Gdzież tu jest równość kobiety i mężczyzny? — Co więcej, kończąc rozdział, powiada apostoł: „A żona niech się boi męża swego“. Mężom rozkazuje Apostoł miłować żony swoje. „Wszakże i każdego z was z osobna niechaj miłuje żonę swoją jako siebie samego“ (tamże) a żonom każe się bać mężów, nie niewolniczo, ale jako niższy wyższego¹⁾.

Odwołał się do Pisma św. bo i szanowna Autorka to uczyniła — a miło nam krytykę naszą oprzeć na powadze bożej. Lecz właśnie ta powaga boża stwierdza tę prawdę, że mężczyzna jest wyższym a nie równym niewieście.

W czemże ta wyższość zależy? Oto, że mężczyzna posiada (dzierży) władzę w świecie, i należy mu się ta zwierzchnicza wszystkim kierująca władza — kiedy przeciwnie kobieta jej nie ma, albo dzierży ją tylko wyjątkowo z postanowienia i delegacji mężczyzny. Kobiety udziałem jest łagodźć tę władzę — być nawet pomocą, ale zawsze tylko pomocą w wykonywaniu tej władzy męskiej. Prawdziwie i pięknie napisała autorka: „Kobieta trzyma niezaprzeczenie w swem ręku część losów rodziny i społeczeństwa, a więc ludzkości, ona jako pani serca swego męża i brata, jako nauczycielka i przewodniczka syna, jako kochanka wreszcie, dzierży w swej dłoni najskrytsze nici, kierujące losami ludzkości, a tyle ma zręczności, przebiegłości i wdzięku, że chociaż na pozór poddana — panuje; i mężczyzna na pasku prowadząc tę istotę, którą jako dziecię uważa, idzie tam gdzie ona zażąda, nie domyślając się wcale, że uległ jej wpływowi“. Str. 11.

Wszystko to pod pewnym względem prawda, ale nie wynika jeszcze ztąd, że kobiecie należą się równe prawa jak mężczyźnie. Sam Bóg dając obietnicę przyszłego Mesjasza, daje ją mężczyznom nie kobietom; kobieta podzędne zawsze zajmuje miejsce. Nawet anielska postać Matki Dziewicy znika zupełnie przy męskiej postaci Józefa św., któremu była w opiekę oddaną. Daremnie, już to z Pisma św. i całej ekonomii bożej nie dowiedzie nam autorka tej równości praw kobiety i mężczyzny. Owszem, my jej łatwo wykazać możemy, że kobieta poddana, uległa być winna mężczyźnie. Wynika to jeszcze z prawa natury.

Ponieważ kobieta jest pomocą mężczyzny, jemu podobną, przeto słuszny jest wniosek, że kobieta jest dopełnieniem mężczyzny. Ztąd chociaż fizyczny i umysłowy ustrój dopiero woczes stanowi całkowitą harmonią — kiedy oboje są z sobą połączeni, to jednak u mężczyzny przemagają zawsze zdolności potrzebne do wykonywania władzy. Rozumem, hartem woli i siłą, góruje bez wątpienia nad kobietą; — ta znów odznacza się wdziękiem, łagodno-

¹⁾ Pani A. D. niech sobie przypomni przysięgę ślubną. „Wiare, miłości i posłuszeństwo“ ślubuje żona mężowi, gdy przeciwnie mąż żonie posłuszeństwa nie przysięga.

ścią, wytrwałością i biernością charakteru, warunkami zupełnie odpowiedniemi jej zadaniu, aby była pomocą mężczyźnie — jemu podobną. Gdyby więc te same były prawa kobiety jak mężczyzny — uderzająca ta niestosowność środków do celu spadałaby na samego Pana Boga, czego loicznie przypuścić nie można. „Bóg fizycznie nie upośledził niewiasty“, woła autorka (str. 13) i my to powtarzamy — a przecież organizm mężczyzny silniejszy, ciało hartowniejsze, głos donośniejszy i poważniejszy — cały wyraz postaci męskiej zachwyca siłą, zrodzoną do władzy, podczas gdy klasyczna postać kobiety zachwyca wdziękiem i urodą, zadziwia delikatnością ruchów i rysów, rozczula dźwięcznością głosu, ale czegoż to wszystko dowodzi? — tego że już natura sama wskazała różnicę kobiety i mężczyzny. Wzajem te dwie istoty dopełniają się, jak ujemne i dodatnie wpływy, ale zawsze powaga i władza przy mężczyźnie, wdzięk i łagodna powolność przy kobiecie.

Autorka powołuje się na historią i przytacza kilka imion kobiecych głośnych swą nauką. My powiększymy liczbę tych głośnych imion, wskazując na kobiety, które z więcej jak mężkim hartem umiały trzymać w swem ręku wodze państwa, jak Elżbieta, Marya Teresa. Ależ czy właśnie ta okoliczność, że podobne kobiety, które po imieniu wszystkie a wszystkie wyliczyć możemy, nie dowodzi ich wyjątkowości? Statystyka cywilizowanych narodów wykazuje, że liczba kobiet znacznie jest większą jak mężczyzn — z drugiej strony wiadomo, że zawsze i wszędzie liczebna większość górę bierze — dla czegoż większość kobiet w cywilizowanym świecie nie wywindykowała sobie praw swoich równych prawom mężczyzny? dla czegoż jeszcze dzisiaj sz. Autorka i jej teorie należą do wyjątków? Na przykłady Ameryki nie patrzymy — bo to społeczność *in actu fieri* w fermentacji — niewyrobiona, nieukształcona. Sama szanowna Autorka nie zgodziłaby się zapewne na emancypację Amerykanek, jakiej próbkę dał np. zakład wychowawczy Wasara w Poughkeepsie koło Michigan, o którym wspomina autor listów zaatlantyckich O. Kaysiewicz. Panny najbogatszych domów pobierają tam wszystkie nauki i stopnie naukowe otrzymują — „jeżdżą po religię, każda po swoją, omnibusem Wasars-Colege do miasta“. „Panny te, dodaje autor listów, dość atletycznie wyglądające, nie miały całkiem ułożenia“. (Roczn. hist. lit. Paryż, 1869 str. 234 — 235).

Nie wynika ztąd, że kobieta ma być bawidełkiem, cackiem dla mężczyzny i niczem więcej. Sama autorka naszkicowała wybornie zadanie kobiety, w rozdz. VII i VIII a spełnienie tego zadania, czyni ją według słów autorki „królową i spójnią wszelkiego towarzyskiego życia“ str. 67.

Z instytucji więc bożej, z prawa natury i powagi dziejów wychodząc, nie możemy kobiecie przyznać równej z mężczyzną władzy w zarządzie spraw ludzkich, a tem samem nie możemy jej przyznać tak szerokiego i rozległego pola działania jak mężczyźnie, z czego loiczny wniosek, że jej nie potrzeba tak wszechstronnego jak mężczyźnie wykształcenia. Sama autorka przyznaje, że kobieta nie jest zdolną do rycerskiego zawodu, a więc już nie może mieć równych praw, bo nie ma równych obowiązków, a więc już jej nie potrzebne nauki wojskowe, strategia i t. p. Przyzna też zapewne, że kobiety nie mogą sprawować kapłańskich obowiązków — a więc odpada znowu cała wielka gałąź umiejętności teologicznych. Nadto wiele jest jeszcze urzędów i usług publicznych, którym kobieta przez wstyd wrodzony niewieście i jej słabość

fizyczną podołać nie może. A jednak jeżeli równe prawa i równe wykształcenie z mężczyzną, to i równe obowiązki i ciężary. Ciekawieby to wyglądało, gdyby młoda urodziwa niewiasta zasiadła na katedrze profesorskiej, a dokoła niej 18—20 letnie młodziki słuchali wykładów filozofii lub estetyki. Podobno umiejętności ludzkie nie dalekoby postąpiły.

Z mylnego tedy założenia wychodząc, pani A. D. przyjść musiała do mylnych wniosków — i dziwi nas, że sama nie wzdrygnęła się przed fatalnem następstwem takiego wykształcenia, gdyby niektóre jej myśli w czyn wprowadzono.

Rozdziały od V—VIII o celu i ogólnych warunkach wychowania należą do najszcześniejszych z całego dzieła. Napisane z uczuciem i namaszczeniem, z wdziękiem nawet, bo przeplatane trafne spostrzeżeniami i poglądami. Tak nie pisze zwyczajna kobieta ale wierząca i podniosłego serca. „Z dziecińcy wątłej, nieświadomej siebie, urobić człowieka, oto zadanie — a zadanie to nie małe. W dziecięciu cały jest człowiek, jak w ziarnku cała jest roślina, ale jak pierwsza potrzebuje światła, ciepła i łona ziemi, aby się rozwinąć mogła, tak dziecina potrzebuje pieczy, miłości i starania pokrewnego ducha, aby się w człowieka przeobraziła. Między niemowlęciem a człowiekiem myślącym, świadomym siebie, rozumiejącym swoją istotę i świat, w którym żyje, używającym sił swych zdolności i woli swojej ku wypełnieniu swego ziemskiego zadania, — między niemowlęciem a takim człowiekiem przepaść cała: tę przepaść ma wypełnić wychowanie...”

Celem więc wychowania przygotowanie człowieka, uzdolnienie jego do życia, zupełnym rozwojem wszystkich sił fizycznych, umysłowych i moralnych dziecięcia, a doprowadzenia ich do równowagi, umożliwienia ich działalności we wszystkich kierunkach.

Tłem, materyałem, które wychowanie ma ująć w pewne kształty, jest dziecię ze swą fizyczną budową, ze swemi wrodzonymi skłonnościami, zdolnościami, uczuciami.

Środkami, któremi wychowanie rozporządza dla ukształtowania mniej więcej dowolnego istoty dziecięcej są: religia, wykształcenie umysłowe, umoralnienie czyli wykształcenie charakteru i wrli i higiena (str. 44—45). Oto treść wspomnianych rozdziałów. — Jest tutaj mowa o „*religii Chrystusowej*“ (sic) i o tem nawet, że „najsświętszym obowiązkiem wychowującego jest wpoić w serce dziewczęcia religię, w której na świat przyszła. My sądzimy, że jedna tylko jest religia prawdziwa, i w niej tylko wychowywać się dzieci mają — religia katolicka. Jeżeli dziecię w innej religii na świat przyszło, obowiązkiem wychowującego jest wskazać mu drogę do tej jednej, jedynej, prawdziwej religii katolickiej, inaczej byłoby to ustalić, ugruntować je w fałszu, skrzywić całe wychowanie. Nadto, p. A. D. pisze, to „pamiętać należy o wychowaniu niewiast naszych“ a więc Polek. My nie słyszeliśmy i nie czytali jeszcze o Polkach akatoliczkach. Protestantckich rodzin u nas tak nie wiele, że je na palcach policzyć można, a Polki Mojżeszowego wyznania to utopia liberalizmu gazeciarskiego.

Rozdział VIII poświęcony higienie kobiecego wychowania. Słusznie uważa autorka, że trudom jakie ponieść musi każda matka i żona, nie odpowiada wcale dzisiejsze zbyt delikatne pieszczone wychowanie majątniejszych

dziewcząt. Na wszystkie się jednak Jej higieniczne praktyki zgodzić nie możemy. Ślizganie np., pływanie i gimnastyka, zwłaszcza kiedy te lekcje są dawane przez mężczyzn, nieraz przez wojskowych, a tak zwykle się dzieje — nie odpowiadają warunkom dobrego wychowania, ważniejszym nierównie jak hygieny. Mają w sobie podobne egzercytacje coś zbyt kawalerskiego — zastosowane do dziewcząt, grzeszą zbytkiem higieny. Więcej powiedzieć nie chcemy i nie wypada. Dodamy tylko, że nasze dawne Polki nierównie zdrowsze i silniejsze od dzisiejszych ślizgających, pływających i gimnastykujących się panien, zapłonęłyby rumieńcem wstydu i oburzenia na samą propozycję podobnych praktyk higieny.

Poczucie obowiązków ma się gruntować na religii w której na świat przyszła dziewczyna. Autorka zaraz dodaje że „cechami ducha chrześcijańskiego są: miłość, pokora i tożsamość intencji z czynem. Wolelibyśmy miasto wyrazu „chrześcijański“, czytać katolicki — bo i luter i kwaker chrześcjaninem. Z poczucia obowiązków i religii w duchu chrześcijańskim nie w czcnych formach zamkniętej wyraża się silny piękny charakter dziewicy.

Rozdział X jest jakby pomostem do drugiej części wychowania, którą jest naukowe wykształcenie. Pani A. D. opowiedziawszy w krótkich malujących wyrazach dziejowy przebieg wykształcenia kobiecego (str. 106 107) dowodzi, że dzisiaj równie jak przed 100 laty nie ma ono swego programu. „W samej rzeczy dziś jeszcze ten sam prawie przyjęty formularz nauk: języki z tą różnicą, że cokolwiek więcej zwrócono uwagi na ojczysty, że obok francuskiego staje angielski i niemiecki. Talenta, bez względu na uzdolnienie uczennic, papuzim sposobem w nie wszczepiane — historia, geografia, literatura, do nich dodano trochę fizyki, botaniki, zoologii, i to ma być wielkim postępem. O głównym zadaniu wykształcenia, to jest o urobieniu potęgi, myśli i jasności obok trafności sądu, nikt nie myśli, jakby w przekonaniu, że te same z siebie przyjdą“... Pierwszą bijącą w oczy wadą jest nieokreślenie celu; przeczytawszy ten program nie wie się kogo i na co w ten sposób kształcić można. Powtórę dziwna bezładność, po kilka nauk oderwano z każdej gałęzi wiedzy ludzkiej, chociaż pojąć trudno, dlaczego właśnie te przyjęto, inne odrzucono. Ten fantastyczny wybór przedmiotów nauki wpływa wiele na spaczenie sądu dziewcząt albo zupełne ich wstrzymanie od pracowania myślą. Jeden to więcej błąd niepraktyczności w uczeniu tych „uprzywilejowanych“ przedmiotów (str. 109, 111). Podnosi szanowna autorka jeszcze i ten przesąd „bardzo rozpowszechniony mierzenia uczoności osób podług liczby języków którymi władają — bo trudno o fałszywszą i mniej loiczną skalę. Nauka języków wymaga dość czasu i jest kosztowną, a nie wymaga osobliwych uzdolnień; oddają się jej zwykle osoby zamożne, dla dogodzenia sobie w tak upowszechnionej u nas namiętności podróżowania i dla spożywania wszelkich nowostek literackich w kilku wychodzących językach.“ (str. 112.)

Nie podoba się Szanownej autorce system wykładowy religii, katechizmu, które są nomenklaturami nie dającymi poznać uczniom ani szczytności dogmatu ani wielkości, piękności, doniosłości, przeznaczenia i obowiązków człowieka.

Dlaczego, pyta nieco z oburzeniem, historia kościelna kończy się na starym testamencie? „Może cofamy się przed trudnością pogodzenia bezstronności dziejowej z uszanowaniem należnym religii? Dzieje Kościoła nie zawsze

są dziejami religii. Dzieje te nie jedną czarną kartę przedstawiają, bo owi przewodnicy (religijni) miesza li się do spraw doczesnych (!) bo łącząc władzę panujących z władzą papieżką miesza li oba interesa, często dobro religii, ambicyi ludzkiej poświęcając, bo nieraz nawet w najlepszych chęciach, fałszywie tłumaczyli znaczenie słów Zbawiciela¹⁾ sądząc że dobrze czynią, błędzili ciężko i długo. Ale możnaż te błędy, te usterki na karb kłaść religii?⁴ (str. 115). Pozwoli sobie autorka uczynić kilka uwag. Nie wchodząc w nomenklaturowe katechizmy, bo wybór książki katechizmowej jest dzięki gorliwości Kanizjusza, Belarmina, Deharba, Gauma itd. bardzo łatwy i dobrej woli księży katechetów zostawiony; nie przecząc ważności wykładu dziejów Kościoła starszym panienkom; nie przecząc nawet, że dzieje Kościoła nie są religią: nie pojmujemy dlaczego ten wykład ma być protestancki a nie katolicki? Teoryę dziejow Kościoła jaką nam autorka dopiero co nakreśliła, zrozumielibyśmy z ust pedagoga protestanta i to takiego, który nie czytał dzieł protestantów Hurtera, Vogta i Mehlera. Do nich, w dziejach przynajmniej Kościoła, niedouczoną jeszcze autorkę odsyłamy. Niech czyta, studiuje, a potem swoje teorye rozwija. Od protestanckich tych pisarzy mianowicie z dzieła Hurtera „Papież Innocenty III“ dowie się, że średniowieczna władza papieży była koniecznym wynikiem społecznych stosunków Europy, a jednym dowodem więcej, wyższości katolickiej wiary nad wszystkie ludzkie systemy i doktryny, — że nie o ludzką ambicyę, ale rzeczywiście o dobro Kościoła i społeczeństw chodziło papieżom, ilekroć się rzeczy świeckich imali, że ukrócając samowolę dumnych, nieokreślonych władców obosiecznym mieczem kłatwy, trzymając ich w ryzach, nie błędzili ciężko i długo, ale prawdziwą poddanym ludom wyświadczali usługę. My temu zboczeniu od prawdy u szanownej autorki nie dziwimy się wcale, adoratorka wychowania p. Duruy napisała to, czego się naczytała w kompendyach i tendencyjnych książkach nie zaglądawszy i nie mogąc nawet zaglądnać do źródeł lub do dzieł specjalnych, wytknąć jednak zboczenie było obowiązkiem krytyki. Niestety, takich cierpkich uwag uczynić będziemy zmuszeni więcej i to tem więcej, im bliżej do końca dzieła. Pani A. D. jak sama w przedmowie wyznaje, zawdzięcza wiedzę swoją własnej prywatnej pracy. Chciwa wiedzy chwyciła za pierwsze lepsze dzieło i połykała wszystko z apetytem zgłodniałego. Rozum niedojrzały jeszcze, bo młody, nie umiał sobie zdać sprawy z wartości przeczytanych dzieł, oceniał wszystko wrażeniem jakie przeczytana książka na tę piękną, młodą duszę sprawiła. Otoż wrażliwość i wrażenie, złemi są doradcami w naukowem badaniu. Takie przynajmniej przekonanie wynieśliśmy czytając te poglądy pani A. D.

Zawyrokowawszy w ten sposób o religii, przechodzi autorka do innych przedmiotów, do historyi, fizyki i t. d. wytykając trafnie i nie bez wdzięku, bo to umie autorka wybornie, wady w obecnym systemie naukowym i stawia swoje programata „kilka myśli“

Chcąc pozostać konsekwentną swemu założeniu, że kobiecie należy się równe wykształcenie jak mężczyźnie, nakreśliła szanowna autorka system naukowy, rozległy, olbrzymi, piękny a może nawet i wzniosły, tylko że nie

¹⁾ Dawno znana to piosnka, przed kilkoma laty kondotier włoskich rewolucjonistów Garibaldi, w mowie swojej do uczniów Uniwersytetu w Padwie, mniej więcej w tych co i szanowna autorka wyśpiewał ją słowach.

praktyczny. Obok tej niepraktyczności planu uderzają znów zdania i sądy tak dziwaczne, że je na karb tylko tej niekrytycznej chciwości wiedzy, o której dopiero co wspomnieliśmy, policzyć nam wypada. Każę n. p. młodym panienkom uczyć się historii z „cennego kursu p. Duruy’ego“ (str. 120). Pedagogom stawia za wzór komisję która pod przewodnictwem p. Duruy (mimo oświaty we Francji) obok wybornego kursu dziejów powszechnych, wydała obszerne i gruntowne opracowania dziejów każdego narodu i jego piśmiennictwa, chronologię, geografję“ (str. 120). Niebawem spotkamy się z panegirkiem dla Jules Simona. „Jules Simon, ów gorliwy, światły, pełen poświęcenia i wytrwałości badacz losu, moralności, oświaty i warunków bytu niewiast zarobkujących, ów niestrudzony ich adwokat i obrońca“ (wielki mąż!) (str. 200). Ależ, bo i ks. Dupanloup ma swoje zasłużone pochwały; dziełko jego „*les femmes studieuses et les femmes savantes*“ nazywa wybornem“ (str. 15), i nieraz się na jego powagę powołuje.

„..... W myślach, jak na fali

.....

Błyśnie i zmierzchnie

Mnóstwo się zarysów skleja

W jakieś tworzydło.....“

Co za mieszanie pojęć, spostrzeżeń, sądów i powag! Co za szkaradne z.łradzenie niezajomości pisarzy katolickich we Francji, niezajomości ówczesnej opinii krom tej jaką reprezentowało akatolickie dziennikarstwo, jak n. p. *Journal des Debats* i *Revue des deux Mondes*! I czemuż to przypisać, jeżeli nie dorywczemu czytaniu, przeładowaniu się erudycją, której brakowało podstaw? Więcej niż pociesznie wygląda to doprawdy, to zestawienie takich n. p. powag, jak słowa Pawła św. z paradoksalnymi sentencyjami Jules Simona, które służą za dewizę dwu pierwszych rozdziałów! Wychowanie dziewcząt i Jules Simon! to coś arcy wybornego! A wyborniejsze jeszcze, to ów wstęp do pierwszego rozdziału, niby to dowcipny i złośliwy a w gruncie niesmaczny i....

„Śmiejemy się nieraz dobrodusznie ze scholastyków średniowiecznych, spędzających długie godziny nad zawiłemi rozumowaniami w chęci zbadania czy kobieta ma duszę lub nie?“ (str. 1). Gdyby szanowna autorka zajrzała do woluminów „średniowiecznych scholastyków“ i rozczytała się w nich z taką ciekawością i wytrwałością jak w „cennym“ kursie cennego p. Duruy lub w owych światłych grymołach światłego Jules Simona, toby w wej książce nie było tyle uderzających nielicozności.

My dla pani A. D mamy zupełne wyrozumienie, pobłażliwość nawet, ale dla uchronienia jej od śmieszności prosimy ją, aby nie dowcipkowała z tego, czego nie zna i znać nie może. „Średniowieczni scholastycy“ ale tylko okrzyczani przez literatów z profesyi, kompilatorów i kompilaterek, którzy jak Skarga mówił do Filipowskiego o aryanach, że „nie są warci nosić książki za nimi“. Inaczej o scholastykach sądzą ludzie poważnej sumiennej nauki, podziwiają ich nawet na katedrach wszechnic. ²⁾ To mimochodem

²⁾ Roku 1865 lub 1866 p. Pawlicki, docent filozofii wykładał system ś. Tomasza z Akwinu w akademii Warszawskiej z wielkiem zadowoleniem słuchaczów Zamilczymy już o Uniwersytetach Zagranicznych

Panowie Duruy i Jules Simon są zwolennikami wychowania bezwyznaniowego, jawnymi propagatorami materyalizmu w szkole. Dziwi nas, że szanowna autorka o tem widać nie wie.

W myśl tych pedagogów bez Boga i bez nieśmiertelnej duszy, wchodziły owe rządowe pensjonaty żeńskie, w których naukę religii zastąpiono jakimś uczonym wykładem etyki. Dalszym rozwojem tego kierunku są owe „orgie popisowe“ szkoły Lugduńskiej, gdzie miasto rozdawania nagród, łamano krzyże i potargano katechizmy. I dzieła takich ludzi, ich myśli, ich systemata stawia nam autorka za model pedagogii żeńskiej!?!...

Niepraktyczność naukowego planu wynika z jego rozległości. Wiedza, jaką panienka ma wynieść ze szkoły, ma być wiedzą „encyklopedyczną“ (str. 129) a tymczasem nakreśla autorka każdemu przedmiotowi tak szerokie ramy, że tylko fachowy człowiek tak wyczerpująco uczyć się może. Zobaczymy to zaraz.

Jesteśmy już w samym środku dzieła rozdz. XI—XVII. Plan naukowy pani A. D leży przed nami: „Zwyczaj obecny każe kształcić młodą osobę do lat 18... i nam ten przeciąg czasu wystarczy... czas ten podzielimy na 4 działy. Siedmioletni okres od urodzenia dziecka poczęty poświęcilibyśmy naukom dzieciennym. Od 7 roku do 12 początkowym. Średnie zajęłyby nam trzy lata od 12 do 15. Wyższe do 18 lat by nas doprowadziły. (str. 131.)

Po bardzo misternem i wdzięcznem opisanu działu dzieciennego (131—135) kreśli autorka plan nauk dla pańienek od 7—12 roku i żąda aby obok historii wykładano im geografję fizyczną „kładąc nacisk na podział wód i łądów,“ nie na taki, jakim go chciwość lub władza stworzyła i co chwila zmienia i przekształca, ale taki, jakim go zrobiła Boska wola za pomocą mórz, gór i rzék (!?) dzieląc ziemię na obszary żyzne lub nieurodzajne, krainę gór i niżyn, skał lub moczarów, czyniąc jedne właściwemi rolnictwu, inne przeznaczając na miejsca handlu, każde odznaczając innemi płodami, innemi własnościami klimatu, kładąc nacisk na charakterystykę miejscowości każdej, ucząc nazw w języku ojczystym i łacińskim“ (str. 139). Z niedowierzaniem pytamy, dla kogo ten program historii i czy to tylko jedyny przedmiot ta historia? To program dla dziesięcio—dwunastoletnich dziewczątek, a każdy inny przedmiot na podobnie wielką skalę ma być opracowany! Powinszować autorce, jeżeli w 12 roku życia tak wszechstronną, tak potężną rozwinięta działalność ducha, jest ona zjawiskiem wyjątkowem, program jednak winien być zastosowany do ogółu uczennic, które w tej życia epoce nie są jeszcze zdolne zrozumieć a nie dopiero wykonać programu. Autorka każe się uczyć tym dziewczątkom geografji astronomicznej, litografii, sztychowania, malowania na porcelanie i drzewie, rzeźbienia drobnego, odcisków na skórce, robienia kwiatów, architektonicznych studiów! (str. 142.) W trzecim dziale średnim wykład historii ma być „bardziej filozoficznym z szczegółową wzmianką o oświacie, piśmiennictwie, naukowych pracach każdego narodu“ (str. 143). „Obok historii zawsze iść musi i granice rozszerzać geografją polityczną, fizyczną i astronomiczną“ (str. 143). Nadto należy uczennice obdarzyć naukowemi narzędziami, matematyką i łaciną“ (str. 143). Tak, na seryo łacińską „Uzbrojona w łacinę niewiasta ma przed sobą otwarte pole nauk historycznych i moralnych.“

„... Głównie ćwiczyć uczennicę w czytaniu pojętnem historyków rzymskich i kronikarzy średniowiecznych“ (str. 145). Szanowna autorka rozumie zapewne język łaciński, skoro go wzięła w opiekę i to wonczas, kiedy ze szkół męz-

kich wyrugować go zamysłają. Otóż powiemy jej w sekrecie, że czytając tę wielopiętrową budowę systemu naukowego przyszedł nam na pamięć wiersz Horacego.

„*Quid dignum tanto feret hic promissor hiatus?*
Parturiunt montes, nascetur ridiculus mus.“

(*Ep. ad Pisones*).

Po tem wszystkim ciekawi byliśmy, czego wymagać będzie autorka od uczennic działu wyższego. Przygotowaliśmy się na wymagania wielkie, ale nigdy na takie, jakie ona tutaj rozwinęła.

Panienkom działu wyższego wykładane być mają obok historii „filozofia historii, zasady i historia prawodawstwa, zarysy ekonomii politycznej, wykład odrębny literatury, filozofia i jej historia, dopełnienie geografii astronomicznej i fizycznej, główne zarysy astronomii ścisłej i zastosowanej fizyki, zoologia i botanika ze stanowiska fizyologicznego i biologicznego!“ (str. 148).

Tutaj, szanowna autorka albo z niewiast naszych zażartować sobie wiodocznie chciała, albo sama (niech nam wybaczy) nie ma pojęcia o tem, jaki ogrom wiedzy objęła swym planem. Dorównać temu zadaniu należałoby być mężem i to wytrwałej nauki i fachowym w swym zawodzie, nie zaś kilkuno-stoletnią, wesołą i ruchliwej wyobraźni dziewczynką. Autorka nazywa to encyklopedycznym ukształceniem (str. 149), mybyśmy to nazwali encyklopedyczną zawieruchą, zawieruszeniem głowy, bo już nic nie wspominamy, że taki szumny w „*sexquipedalia verba*“ ujęty program nie zdolny wykształcić uczennic; dać im tylko może po odrobinie rozmaitych nauk, niejasnych wiadomości i zrobić z nich dumne i próżne savantki, sztywne, chłodne i pozujące na mędrców stworzenia.

Przez kogo i w jaki sposób ten program naukowy ma być w czyn wprowadzony? Na to odpowiada autorka z pewnem wahaniem się: Przez rząd i lincea żeńskie. „Zdaje się nam, że stworzenie gimnazyów dla kobiet, kształcących zarazem przyszłe nauczycielki i dziewczęta warstw zamożniejszych podług wyznaczonego programu, łatwiejszem byłoby dla rządu i mniej kosztownem, auzieli się zrazu wydawać może“ (str. 156).

Na czele tych szkół stanie kuratorka, a każdej pojedynczej szkole przewodniczy dyrektorka „wybrana z rządu światłych niewiast dobrego towarzystwa lub z grona zasłużonych nauczycielek, dyrektorek pensyi i t. p. w każdej zaś klasie jedna inspektorka, któraby była przytomną lekcjom, przestrzegającą porządku i przyzwoitości.“

Teraz następuje pomysł najciekawszy. „Wykłady zaś mogłyby być powierzone nauczycielom szkół męzkich, wzywając nauczycieli szkół klasycznych do wykładu nauk moralnych, wykład przyrodzonych powierzając nauczycielom szkół realnych. (sic).

Gdyby rząd stworzywszy zakłady pozwolił na ucześnieanie kobiet do wszechnic, położyłby podwaliny (sic) przyszłość naukową niewiast zapewniające“ (str. 155). Wybornie! a więc dla panien polskich, szkoły rządowe pod naukową dyrekcją męczyzn! To samo praktykują Moskale u siebie dla demoralizowania społeczeństwa³⁾, i autorka w tem widzi ideał kobiecego wycho-

³⁾ Mimo woli przypomina nam się tutaj mowa jednego z rosyjskich urzędników, który przed paru laty przy otwarciu żeńskiego liceum w Kielcach

wania! Nie rozumiemy jej i nie pojmujemy. Jest-to smutna aberracja tej bogatej i pięknej duszy, którą przypisać musimy owemu źle uporządkowanemu nagromadzeniu różnorodnych naukowych wiadomości. Mimo dozoru „inspektorek” niewłaściwości i niebezpieczeństwa, jakie z takiego składu gimnazjów żeńskich wyniknąć koniecznie muszą, żadną miarą nie są usuniętemi. Są to rzeczy tak wstrętne, tak jasne zarazem, że pogańskie ludy nawet nie pomyślały w czyn je wprowadzić i tylko społeczeństwa na negacyjnych pierwiastkach opierające swoją wrzekomą cywilizacją a w gruncie spróchniałe, moralnie upadłe, jak Francja *) i Rossja podniosły je do ważności systemu. W Austrii zastosowano ten system do preparand nauczycielek. Niebawem nadobnych rzeczy będziemy świadkami.

Szanownej autorce nie podobają się żeńskie zakłady w klasztorach. Sercankom zarzuca drogość i pańskość i jakąś tajną policją, niby to świętą i potrzebną, ale zawsze tajną a więc moralnie szkodliwą. (str. 162) Autorka chce, aby zakonnice zeszyły do roli dozorczyń wychowania, dla sierót mianowicie, i aby konwojowały swe konwiktorki do i ze szkoły. (str. 161). Apatyę tę dla zakonnych pensjonatów pojmujemy w autorce, kiedy panowie Duruy i Jules Simon są dla niej ideałem pedagogów, ale nazwiemy ją niesłuszną i przesadną. Pozwoli nam autorka nadmienić, że cała jej rozwinięta tutaj teoria żywym jest wziętą z gruntu nam obcego, co więcej, akatolickiego, przez wszystkich poważniejszych pisarzy naganiona. Autorka opiera wychowanie na chorobliwym systemacie, który do upadku społeczeństwa przywieść jedynie może. Podziwienia też są godne, owe szanownej autorki pretensye, ażeby w takich zakładach mówiono pannie o jej obowiązkach żony i matki „Trzeba w nią wpoić, mówi pani A. D. zamiłowanie do przyszłych obowiązków szczytnych i świętych“ (str. 163). A któż to młodym chłopcom mówi w szkole o obowiązkach męża i ojca? Byłyby to anachronizmy nie do darowania! — Uderzył nas także zarzut, że sercanki przynaglają uczennicę do wyznawania przewinień matce przełożonej, zanim je księdzdu u spowiedzi powierzą“ że polecają wzajemne śledzenie i donoszenie, że zbyt hojnie rozdają nagrody. (str. 162). Pytaliśmy się więc osób. które u tych dam wychowanie odebrały i możemy szanowną autorkę upewnić, że tak nie jest, że zarzuty swoje sformułowała albo na opowiadaniu niechętnych, albo na podstawie pojedynczego wypadku.

Zdaniem wszystkich znakomitszych autorów we Francyi, wyjąwszy takich radykałów i ludzi bez wiary, jak Jules Simon i Duruy, zdaniem wszystkich poważnych matron, wychowanie powinno być oddane albo w ręce zakonnice, albo w domu pod czułym okiem mądrej i pobożnej matki. Pobożność, cichość i pewna zakonna skromność są najpiękniejszą ozdobą dziewicy. Tak kształciły i chowały się owe poważne Polki, żony Żółkiewskich i matki Sobieskich. Kowodował że nasze niewiasty nie miały żadnego dotąd wykształcenia bo nie było liceów i dopiero rząd rossyjski to źle usunął.

*) We Francyi z zaprowadzeniem ich przez pana Duruy, wiadomo że cała uczciwa prasa piętnowała te instytucye. Żadna porządna familia, żaden uczciwy ojciec nie chciał oddać swych córek do tych liceów, mimo zabiegów i silnego parcia pana ministra; niektórzy tylko urzędnicy i familie wątpliwych obyczajów posyłałi tam swoje dziewczęta. Wiemy już dzisiaj, jakie wyszły z nich wychowanki.

bieta nie potrzebuje tak rozległej wiedzy, jakiej program postawiła nam autorka, ale potrzebuje wiele cnoty i bardzo wiele tego, co się nazywa zmysłem moralności, a to tem bardziej, im luźniejsze jest wychowanie chłopców. Moralność kobiety jest skalą moralności społeczeństwa, a właśnie tej moralności kobiecej nie nie zagraża prędszą ruiną, jak edukacja panien w szkołach publicznych pod naukowym kierunkiem mężczyzn.

Niech się więc szanowna autorka nie lęka, że panienki z zakładów klasztornych wyjdą nie dosyć światowe i niedosyć praktyczne. Przy tym przepychu i światowości, jaka panuje w niezamożnych nawet, ale mających pretensje do zamożności domach, przy tej wyrafinowanej praktyczności, która jest charakterystyką wieku, młoda panienka nabędzie jej wkrótce i to aż zanadto. Co się zaś tyczy pensyonatów prywatnych, to te utrzymywane są podobno więcej dla chleba jak z zamiłowania, kierowane często przez osobę niepewnych religijnych zasad, lub niemającą tego, co nazywamy tradycją wychowania; pensyonaty te z całą swoją improwizowaną wielkością i uczonością, więcej szkody niż pożytku przynoszą społeczeństwu, wydają bowiem zarozumiałe tylko, bez gruntownej wiedzy, wiecznie uśmiechnięte świegocące istoty i do tego bez najmniejszej podstawy religijnej. A niewiasta bez zasad religijnych, to jak mądrze powiedział uczoney Balmès jest czemś przerażającym

Pani A. D. będąc przeciwną wychowaniu panien w Zakładach klasztornych pomija najzupełniej i powołanie dziewicy do stanu zakonnego. Chociaż zdawałoby się, że kto tyle mówi o podniesieniu niewiasty, powinienby i o tem coś wspomnieć, tem bardziej, że kwestya ta dotyka bezpośrednio moralnego nastroju niewiast w społeczeństwie. Znakomitsi pisarze protestancy (pomijając już katolickich takich, jak ś. p. Montalambert ¹⁾, Cesar Cantu ²⁾, O. Felix ³⁾ pomiedzy innymi: Cobden ⁴⁾ i Marshall ⁵⁾ nie wachali się wyznać, że zakon żeńskie nie tylko już wywierają wpływ na podniesienie cnot, surowości życia i ducha poświęcenia u niewiast, ale co więcej, ilość zakonnemu życiu poświęcających się kobiet daje zawsze pewne świadectwo o skali religijnego, a więc i moralnego usposobienia niewiast w społeczeństwie, w którym się żeńskie zakony znajdują. One to, mówi Balmès ⁶⁾ podnosząc i dodając uroku niewieście, umoralniły barbarzyńców, one i dzisiaj na umoralnienie kobiety a przez nią społeczeństwa, potężny wpływ wywierają. Tam, gdzie klasztory żeńskie zniszczone, hart cnoty słabnąc w niewieście wnet począł. Godziło się przeto, mówiąc o wychowaniu niewiasty, dotknąć i tego ważnego nader przedmiotu, tem bardziej, że w społeczeństwie naszym wielka ilość z pierwszych rodzin dziewięć wzgardziwszy oczekiwany gościem posażnych i nadobnych, przyjęła Chry-

¹⁾ *Les Moins d'Occidente.*

²⁾ *Gli Eretici D'Italia.*

³⁾ *La Carmelite.*

⁴⁾ *Lettres sur l'Historie de la Reforme en Angleterre par Williams Cobbet.*

⁵⁾ *Missions Chrétiens Tradui: de l'Anglais par M. de Waziers*

⁶⁾ *Les Protestantisme comparé au Catholicisme dans ses rapports avec la Civilisation Européenne. Tom. II. Chap. XXVI. De la Virginité. Chap. XXVII. de la Chevalerie. Chap. XXX. Des Ordres Religieux dans l'Historie.*

stusa za swojego oblubieńca i chlubne zawsze dawała i dawać będzie świadectwo o naszych siostrach, o naszych niewiastach. Koniecznie wypadatoby podnieść tę stronę unasobięcego wychowania, zwłaszcza dzisiaj, kiedy maleńkiej jeszcze dziewczeczce kładą już w uszy, że powinna być nadobną, figlarną i umieć sobą zając, dzisiaj, kiedy coraz to częściej spotykamy się z wymuszonymi, pełnymi pretensjami a próżnymi aż do śmiechoty podlotkami, sądzisz, że to marjonetki a nie polskie, ciche, wdzięczne dziewice; prawda i to, że aby wspomnieć i o powołaniu zakonnem niewiasty, do tego potrzeba pewnej odwagi i wytrwałości, nie szukać wzorów do wychowania niewiast u takich wielkich okropnie ludzi, jak Duruy i Jules Simon, ale u mężów katolickiego ducha.

Autorka powstaje i to z oburzeniem na ustawiczne konwojowanie pańienek po za domem. „Nie wiem, czy jest drugie prawo towarzyskie podobnie uciążliwe, bezzasadne i bardziej społeczeństwo hańbiące! ale póty, póki je społeczeństwo zachowuje, póty nie wolno kobiećom go przełamywać bez istotnej potrzeby, a to w interesie samychże kobiet”. I myślimy się równie oburzali tą etykietą, gdyby ona nie miała swego usprawiedliwienia. Najprzód w tem, czego nam autorka bezwątpienia przyznać nie chce, że kobieta nie wystarcza sama sobie i potrzebuje opieki mężczyzny, jako słabsza i niższa od niego, powtórc, że przy tej miękkości obyczajowej, jaka panuje w pewnych sferach społeczeństwa etykietą, jedynym jest prawidłem hamulcem występku. Usuńmyż ją, a zastąpić ją będziemy musieli ową nową amerykańską, aby wraz z nią i amerykańskie sprowadzić obyczaje, będące świadectwem owego stanu moralności, w jakim się znajduje to społeczeństwo. Chcąc dać młodej osobie taką swobodę po za domem, o jakiej prawi nam autorka, str. 174—176 a na którą my pod żadnym względem się nie godzimy, chcąc jej otworzyć wstęp do szkół, wszechnic, teatrów, kasynów i miejsc publicznych, nie dosyć wykształcić pańienki naukowo i moralnie, potrzeba pierwej umoralnić całe społeczeństwo, a tego osiągnąć inaczej nie można, jak tylko wczasy, kiedy wychowane będzie na gruncie religijnym.

Żalom szanownej autorki z powodu rażącej niesprawiedliwości społeczeństwa. (str. 216) potępiającego niewiastę w wypadkach w sferę moralności wchodzących, wczasy, kiedy mężczyzna daleko gorzej postępujący, dobrego nieraz imienia w najwykwintniejszych towarzystwach używa, przyznajemy słuszość. Ale czegoż i ta surowość względem niewiasty dowodzi, jeśli nie głębokiego przeświadczenia o wysokim jej posłannictwie, odtórej przyszłość społeczeństwa zawisła? jeśli nie gorącego pragnienia, aby ona zawsze na wyżynach cnót stojąc, przyswiecała nam wszystkimi ich wdziękami? nie dowodzi ona właśnie, że społeczeństwo uważa niewiastę za drogocenny skarb, jedyną fortunę, i jako taką otacza najsurowszymi prawami, aby ją od skazy i sromu zachować? Cóżby się to z nią stało, gdyby jej taką samą swobodę obyczajów zostawiono jak i mężczyznom? w co obróciłaby się rodzina, społeczeństwo, kraj cały? Jużto wszelkie upominania się o jakieś prawa, przywileje dla niewiast, które dotąd królowały i królują w społeczeństwie naszym, do niczego innego nie doprowadzą, jak tylko do strącenia ich z tego piedestału czci, jaki po dziś dzień u nas przynajmniej zajmują. Chcielibyśmy więc mieć owe, prawem zagwarantowane niewiastom swobody, jak w Ameryce? — nie wiem, czy zyskałyby na tem co polskie niewiasty? Mogłyby być wprawdzie doktorami medycyny, ale nigdy już prawdziwie po rytersku uwielbianymi, czczonymi i szanowanymi matkami, żonami i dziewczycami.

Wiemy dobrze, do czego zeszło w Ameryce stanowisko kobiety. Dajmy więc pokój tym wszystkim teoryom i systematom, zapożyczonym u pp. Duruy, Jules Simona *e tuta lora compagna*, jakie powiększyć są tylko zdolne ową liczbę *à la frou-frou* wyemancypowanych niewiast. Nam potrzeba dziewicy polskiej, matki Polki, która czystsza od Westalek, przechowywać będzie w cieniu rodzinnej zagrody ogień wiary, miłość ojczyzny, naszę tradycję i cnoty domowe. Dajmy raz pokój temu wykształceniu, traktującemu o wszystkim *de omni re scibili et quibusdam aliis*, które niczego gruntownie ją nie nauczy i tylko w sroczkę szczebioczącą ją przemieni. Chcemy niedostatkom wykształcenia niewiast zaradzić, zgoda; róbmy co możemy, ale podajmy jej karm naukowy, odpowiedni jej powołaniu i stanowisku, kształćmy ją gruntownie, ale dajmy jej wychowanie nie samo tylko chrześcijańskie, jak chce szanowna autorka, ale religijne przedewszystkiem, katolickie, a tym sposobem uszanujemy jej wielką w społeczeństwie godność, zapewnimy i jej i sobie szczęście, a naszemu narodowi przyszłość. Inaczej i ją i siebie samych zgubimy.

Kończąc to nasze sprawozdanie, musimy pominąć rozbiór szczegółowy czterech ostatnich rozdziałów, gdzie szanowna autorka mówi o powinnościach obywatelskich kobiety i o kobietach pracujących. Rozległe pole obowiązków, jakie tutaj kobiecie szanowna autorka zakreśla, uważamy za piękne poetyczne marzenia, na które zgodzić się nie możemy, ale za to rzecz o kobietach pracujących najzupełniej pochwalamy. Wiele tutaj trafnych uwag i powiedzmy prawdę, szczęśliwych pomysłów. A teraz w domówieniu pozwoli nam szanowna autorka wyrazić nasze przekonanie, że dziełko jej, aczkolwiek zastosowane w praktyce, mogłoby smutne sprowadzić następstwa; wiele jednak w niem znajduje się rzeczy, dających nam poznać piękną i szlachetną jej duszę. Szanowna autorka odznacza się przytem łatwością i wdziękiem pióra, i dla tego wiele prawdziwie pięknych i pożytecznych rzeczy spodziewać się od niej w przyszłości możemy.

OBERAMMERGAU.

Bawiąc jakiś czas w Niemczech, dowiedziałem się z dzienników, że przedstawienia dramatyczne Męki Zbawiciela w Oberammergau będą miały tego lata miejsce, gdyż wojna przeszkodziła była dopełnić ten pobożny ślub roku zeszłego. Pospieszyłem więc na to przedstawienie, a dzisiaj radbym podzielić cię z czytelnikami Przeglądu Lwowskiego wrażeniami, jakich sam doznałem. Równocześnie wysłałem krótki opis tego com widział do Przeglądów w Krakowie i Katolickiego w Warszawie; sądzę jednak, że i w waszem piśmie ten list mój umieścić zechcecie, bo zdaje mi się, że rzadko gdzie w jednej na raz ręce pisma te znaleźć się mogą. Wiadomo, że r. 1633, kiedy w okolicach doliny Ommer w Partenkirche wybuchła zaraźliwa choroba i po całej rozeszła się Bawaryi, wówczas mieszkańcy wioski Oberammergau na radzie gminnej uczynili ślub, przedstawiać co dziesięć lat z największą okazałością Mękę Zbawiciela, jeśli jeno Bóg zarazę odwrócić od nich raczy. Historycy nam mówią, że z dniem uczynionego ślubu choroba ustała a mieszkańcy następnego

zaraz roku 1634. po raz pierwszy przedstawili Mękę Chrystusową. I od tych czasów poczciwi mieszkańcy ściśle dopełniają ślubu uczynionego przez pradziadów swoich. Pierwotnie, cmentarz około kościoła służył za miejsce, na którym pobożne to przedstawienie odgrywano, dzisiaj zaś w zbudowanym umyślnie na to teatrze, mogącym pomieścić do sześć tysięcy osób; jest on częściowo tylko pokrytym, większa bowiem połowa sceny i cały amfiteatr pod gołem najzupełniej niebem. Wieś sama w przedziwnie pięknem znajduje się położeniu. Z ław amfiteatru widzisz wspaniałe góry otaczające wieńcem ową dolinę, której z jednej strony dotyka Oberammergau a z drugiej równie piękna wioseczka Unterammergau. Najwyższa góra Kofel, na której szczycie zatknęty krzyż, panuje nad całą okolicą. Przedstawienia Męki Zbawiciela mają miejsce zawsze w niedziele od godziny 8. rano aż do 5. w wieczór. Mnóstwo ludu z różnych stron Niemiec przybywa na tę uroczystość. Katolicy po większej części spowiadają się i komunikują w wigilią dnia. Samych księży bywa dość często, przeszło dwustu i dla tego o trzeciej już rano wychodzić muszą do ołtarza, aby mszę św. mogli wszyscy odprawić.

Na scenie podobnie jak u starożytnych Greków występują chóry, one objaśniają znaczenie przedstawianej rzeczy i starają się obudzić w widzach odpowiednie jej znaczeniu uczucia. Rzecz rozpoczyna się od wspaniałego prologu, poczem następuje śpiew, muzyka i tryumfalny Chrystusa Pana wjazd do Jerozolimy. Każde przedstawienie z opisu męki Zbawiciela wzięte poprzedzają żywe obrazy ze Starego Testamentu, te właściwie, co figurowały śmierć Pana Jezusa i tajemnice Nowego Zakonu. Takich obrazów jest 23, a scen samych właściwie 3, złożonych z kilku aktów. Przed każdym żywym obrazem muzyka i śpiew chórowy, ostatni objaśnia łączność obydwóch Testamentów. Rzecz cała kończy się Wniebowstąpieniem Chrystusa Pana. Zauważyłem, że Niemcy zachwycają się szczególniejszym spotkaniem się obciążonego krzyżem w czasie drogi na Gólgotę Chrystusa Pana z Matką Najświętszą. Widziałem łyzy w oczach u wielkiej liczby mężczyzn. Obok mnie siedział srebrno-włosy poważny starzec, jakiś wysoki dygnitarz i wciąż ocierał sobie łyzy chustką. Zdaje mi się jednak, że gdyby przyszło porównać siłę uczucia i rzewność wyrażenia w tych słowach i hymnach z odpowiednimi miejscami w naszych Gorzkich Żalach, gdzie Matka Bolesna rozmawia ze swoim Synem, nasze okażą się daleko silniejszymi. Gdyby i u nas było podobne Oberammergau i chciiano korzystać z Gorzkich Żalów, wzruszenie byłoby jeszcze większe, wrażenie silniejsze.

Nigdy nie spodziewałem się znaleźć tyle artyzmu pośród tych górali, jedna tylko żywa wiara, z jakiej są znani. Jest jego motorem, ona to ożywiała niegdyś i wielkich malarzy, rzeźbiarzy i muzyków, trudno bowiem przypuścić, aby ludzie prości raz tylko na dziesięć lat i to w niedzielę występujący na scenę, zajęci zawsze ciężką pracą około pola, bydła i wyrobów z drzewa, nabrać mogli takiej wprawy w odegraniu swoich ról i nabrać tyle artystycznej rutyny. Bez wątpienia, artyzmu ten utrzymuje się tradycją wiekową, ale i to prawda, że w żywej wierze czerpie swój pierwiastek, najlepszym tego dowodem jest to, że występujący na scenę przygotowują się poprzednio zwykły postami, ćwiczeniami duchownymi i spowiedzią. Uważają bowiem swój teatr jako rzecz świętą, jako dopełnienie pobożnego ślubu, co dodaje właśnie tem większego uroku tym jedynym w swym rodzaju dzisiaj przedstawieniom. Uległy i one niektórym już zmianom. Miejsca zbyt trywialne zostały usunięte, słowa które chór

śpiewa, poprawione dawniej przez ks Weiss ze Zgromadzenia Benedyktynów z pobliskiego klasztoru Ettal, dzisiaj zmienił je na nowo żyjący tutaj od dwudziestu sześciu lat ksiądz Daissemberger. Kapłan ten, zasłużony wielce. długi czas był miejscowym proboszczem i dziekanem zarazem. Zrezygnowawszy następnie z probostwa, mieszka sobie tutaj jako beneficjant przy tym samym kościele. On duszą i moralnym sterownikiem teatru. Napisał obszerną historję swojej wioski, która dwa razy była już drukowaną. Człowiek to pokory rzadkiej, przystępny, miłośnik muzyki i poezji. Sam ułożył piękne kościelne dramata. Paster. wzorowy i ukochany przez swoje owieczki. Byłem świadkiem, jak młody, z Morachium przybyły ksiądz, wynosił od niego paki manuskryptów; były to kazania, jakie w bibliotece kaznodziejskiej mają być umieszczone. Gospodarz, u którego mieszkałem, pokazywał mi mowę pogrzebową, mianą przez ks. Beneficjanta na pogrzebie jego córki; czytałem ją z zajęciem i jeden raz jeszcze więcej przekonałem się, że dusze niewinne miłujące Boga i bliźniego nie starzeją się nigdy, zawsze pełne młodzieńczego życia, pełne ognia wiary i poetycznego uczucia. Powróćmy atoli do teatru. Urządzenie i porządek zadziwiające, a jednak wszystko to rolni sami wieśniacy, (nikomu nie wolno brać udziału w tych przedstawieniach, kto nie jest urodzony w Oberammergau) którzy nie byli nigdy w szkole dramatycznej, ani widzieli może innego prócz swego teatru. Ludność tutejsza wynosi 1200 osób, połowa jej występuje na scenie, druga dostarcza również teatrowi muzykantów i śpiewaków do chóru. To też nie ma domu, gdzieby nie było narzędzi muzycznych. Na pół roku przed zbliżającą się uroczystością właściciele domów wybierają z pośród siebie komitet, ten przeznacza role i nikt nie może od nich się wyprosić lub jakiej zmiany żądać. A jednak wybór bywa nadzwyczaj szczęśliwy; fizyognomie wydają się jakby do swojej roli stworzone. Nie przynosi to jednak wybranemu na dramatycznego artystę najmniejszej korzyści, owszem wynagrodzenie tak małe, że nie oplaca się strata czasu, jaką dla teatru poświęcić wypada. Przychody obracane są zwykle na wzbogacenie garderoby, aby przedstawieniu dodać o ile możności wspaniałej okazałości, pozostała dopiero częścią z dochodu obdzielają się pomiędzy sobą. — Jest w tych przedstawieniach coś oryginalnie idealnego, coś, co zachwyca poetę i myśliciela wprawia w podziw. Ludzie prości, którzy po większej części ciężko w pocie czoła pracują, ubogo chodzą, występują naraz w bogatych na scenę ubiorach i wywiązują się ze swoich ról jak wytrawni, najznakomitsi artyści. Niemcy słusznie dumni są ze swego Oberammergau. Wydają liczne o swoim teatrze broszury. Guido Görres pisał o nim obszernie w *historisch-politische-Blätter*. Broszura Edwarda Dervient, jednego z pierwszych artystów niemieckich złożyła hołd wiejskim artystom i rozniosła ich chwałę w świecie artystycznym. Deputowany bawarski Lambert i kilku innych pisali również wiele o tej rzeczy. Protestanci podobnie jak i katolicy nie mogą dosyć wychwalić tę gminę; chępią się z niej jako z objawu estetycznego uczucia, rodzzonego jak mówią, niemieckiemu narodowi. Nie brakło jednak i zdań nieprzychylnych, różnego rodzaju opisów po massońskich dziennikach. Ale nie dziwnego; ci mechanicy, czy to we Francji, czy w Niemczech, czy to u nas w Polsce, wszędzie jednacy, nie mogą i nie potrafią oni znieść nie takiego, w czem tkwi życie chrześcijańskie, co ideę chrześcijańską przypomina, i kto wie, czy z tego stanowiska nie dałoby się tego wytłumaczyć, dla czego komuniści paryscy nie na same tylko kościoły rzucili się z wściekłością, ale

i na muzea, galerye, biblioteki. Wszak i w tych wszystkich złożone zostały płody geniusza chrześcijańskiego, wszak one są żyjącą apologią owej olbrzymiej pracy, jaką Kościół na wykształcenie ludów podejmował. Nic więc dziwnego, że i przedstawienia w Oberammergau podobać im się nie mogą. Oni lubią popierać ale innego rodzaju teatru, te, od których wedle słów pewnego deputowanego (znany dobrze ze swojej nienawiści do Kościoła, prezes loży massońskiej w księstwie badeńskim) przyszłość rewolucyi zawisła; „przez teatr. mówił on, najłatwiej można opanować lud i wyrwać go z pod przesądów pozytywnych religii, wyzwolić z pod jarzma tyranii księży i króli”. I cóż na to odpowiedzieć? Podobnie jak złym książkom, złym gazetom, dobre, tak samo i złym teatrom chrześcijańskie przeciwstawić by należało.

Do Oberammergau nie sam tylko lud tłumnie się udaje, liczna ze wszystkich stron Niemiec, z rozmaitych dalekich krajów, nawet z Anglii i Ameryki przybywa tutaj tak zwana dzisiaj intelligencya. W tym roku przedstawienia Męki Zbawiciela odbędą się jeszcze d. 3, 9, 17, i 24. Września, poczem czekać będzie potrzeba aż do 1880 roku. Nie przynoszą one jednak, jak wspominałem, żadnego mieszkańcom dochodu; główne źródło ich utrzymania to wyroby drewniane, wykonane nadzwyczaj misternie, z jakich mieszkańcy Oberammergau słyną nawet po za granicami Niemiec. Uprawa roli przynosi im niewiele, raz, że jej mają skąpo, a powtóre, na wyżynie 2600 stóp po nad poziom morza wzniesionej, niektóre zaledwie ziarna, i to nie zawsze dojrzewać mogą.

Na drugi dzień po przedstawieniu męki Zbawiciela byłem w miejscowej szkółce. Dzieci chodzą do niej przez 6 lub 7 lat, a po ukończeniu 3 lata do szkoły niedzielnej. Byłem na katechizmie, jaki wyklada ks. Daisemberger. Nauka odbywała się w ogrodzie sędziwego pastora pod cieniem drzew. Działwa otoczyła kołem srebrno-włosego starca i słuchała go z zajęciem. Nicwinnu dusze mają zawsze naturalny pociąg do rzeczy bożych. *Anima humana naturaliter christiana est.* Widziałem tam więcej niż lekcję, czułem i miłość starca ku tej działwie i miłość i przywiązanie dzieci do niego. Ta niepozorna postać starca, jakże przedziwnie była piękna! prostota, pokora, świątobliwość uwidoczniały się na jego poważnym obliczu. Kiedy po skończonej z dziećmi lekcji mówił do mnie, przypomniały mi się słowa Pisma św. *Laudemus viros gloriosos. in peritia sua requirentes modis musicos et narrantes carmina scripturarum, homines divites in virtute, pulchritudinis studium habentes, pacificantes in domibus suis...*

J. N. S

Alleverd (Isère) 27. Sierpnia 1871

KSIĘŻA I TEOLOGOWIE

Dziennika Polskiego.

Powiadają, że jeden z naszych liberalnych dzienników spowodowany natarczywem żądaniem natychmiastowego wyptacenia jakiejś zaległej opłaty rządowi, znajdując się w krytycznym położeniu (gdyż

sekta utrzymująca go dotąd z powodu zbytniej genialności redaktorów już go więcej płacić nie chciała), że tedy ów dziennik liberalny w miejsce żądanych opłat ofiarował pokorne swe służby stronie żądającej i gwałtem się sili być następcą czcigodnej *Krakauerki*, zgasłej lat temu kilka. Odpowiedziano mu podobno *et haec sunt facienda et illa non omittenda*,— a on nieboraczek im bardziej musi zbywać obietnicami *illa quae non sunt omittenda*, tem bardziej usiłuje dowieść dokąd byłby zdolny dojść w wypełnieniu onych rzeczy, *quae sunt facienda*. I tak on, któremu się zdawało, że bałwanom morskim rozkazywał i gór wyniosłości ważył, i po gwiazdach językiem rozkielznanym wodził, teraz ze szczytu swej pychy ściągnięty i plagą nielada zagrożony, nieośmieszonym fetorem uniżoności i służbiwości świat liberalny krakowski i galicyjski coraz bardziej napelnia.

Gdy tak się rzeczy mają w jednej z naszych stolic, w drugiej równie dziwny rozwija się widok.

Lwowska *Neue freie Presse*, czyli tak zwany *Dziennik Polski* gwałtem się przemienia na organ klerykałny. Rzecz niedouwierzenia a jednak prawdziwa! Agencya wiedeńskiej prasy tak co dopiero bezwzględnie ultraliberalna, taka nieublagana w kopaniu i deptaniu wszystkiego co tylko przypominało duchowieństwo, księży i kler, nagle prezentuje się światu jakby jakaś parafia czy zakrystya napchana księżmi, teologami, zakonnicami i nawet ultramontańskimi prałatami!... takjest teologami, i prałatami ultramontańskimi, którzy zwąchali aż w Krakowie jakieś zamachy gallikanizmu, tem groźniejszego u nas, im bardziej pod młotem Veliotyizmu upadłego i zgruchotanego we Francyi. Zdaje się, że cała redakcya dziennika wyksiężyla się i zmniejszyla; nawet ów dowcipny, nieoszacowany Molier lwowski, ten Lam genialny! — przemienił się— w Tartufa. Piszą tylko księży K., księży Ks., księży G., zakonnice B., teologowie Jxy, asceci Ypsylony itp.

Lepiej późno jak nigdy — ale wyznać trzeba, że jak we wszystkim tak i w tem jesteśmy tylko nędznymi i spóźnionymi naśladowcami Warszawy i Wilna. Czyliż *Dziennik Powszechny*, przemieniwszy się w *Dziennik Warszawski* pod redakcya Pawliszczewa nie miał swoich kapłanów i teologów a nawet zakonników i zakonnic. Ktoż nie pamięta pobożnych artykułów jakiegoś nadwiślańskiego pustelnika występującego tyle razy w sutannie polskiego kapłana a potępiającego francuzkie zachcianki w duchowieństwie polskiem? Albo owych artykułów kapelana F..... objeżdżającego Kongresówkę w celu wywachania wszelkich słabych stron w konsystorzach, w parafiach, klasztorach, seminariach itp. instytucjach kościelnych, aby je podnieść zbawienną krytyką. Czemużby *Dziennik Polski* nie miał mieć duchownych wszystkich liter alfabetu i choćby nawet asbuki, kiedy dzienniki nihilistyczne mają swoich Żylińskich, Niemekszów, Tupalskich, Placewiczów i tylu innych nazywanych nie literą, ale po imieniu, *in extenso*.

Kapłani *Dziennika Polskiego* (a szczególnie kapłan Ks. G., w artykule swoim pod tyt. *Baudouin krakowski* Nr. 250) przewidują, że będą nazwani Judaszami i Lutrami. Co się tyczy Judasza. *Tu dixisti!* Macie jegomościowie na tę postać wszystkie kwalifikacye. Któżby

was nie poznał po tej fizyonomii bezwstydney i po tych wytartych czołach, któremi świecicie w synagodze zważę się redakcją dziennika, jako obrońcy sprawy duchowieństwa katolickiego i katolickiej religii zaczepianych i pokrzywdzonych waszem zdaniem przez obronę *Czasu*. Bądźcie przekonani, że daleko silniej niż my fanatyki krakowskie, mają was tutaj za najwierniejsze reprodukcye iskaryockie sami wasi przyjaciele i mecenasi. Nie powiem już, że was p. Dobrzański za nasienie judaszowskie poczytuje, ale że sam wasz pryncypał, równie jak jego dowcipny sekretarz, (jeżeli nie należy do waszych wyksiężonych) ma was nie za co innego, tylko za to czem jesteście.

I to niekoniecznie z tego tytułu, że jegomość żałujesz pieniędzy na kościół i dom zakonny, jak niegdyś Judasz żałował olejku na stopy Chrystusowe, ale głównie dla tego, że bronisz cnoty i prawdy przed synagogą kłamstwa i niecnoty, że przemawiasz za duchowieństwem i usiłujesz je zasłonić przed krzywdą czynioną im obronami wyprobowanej prawowierności katolików — całując je ustami pełnemi kłamstwa i zdrady.

Co się tyczy Lutra. Toby było dla ichmościów za dużo honoru. Luter był zuchwałym herezyarchą, ale trzeba przyznać, że był to człowiek bogatej głowy. Tego nikt myślący Jegomościom nie zarzuci. Wy nie stworzycie herezy. Na to trzeba innej ambicyi niż owa, która się zaspokaja koleżeństwem pana Lama i na to trzeba mieć głowę na karku a w głowie olej, nie zaś ciemny kanał, przez któryby alembikowano wszelkiego rodzaju brudy. Pod względem głowy na karku, i oleju w głowie, duchowni *Dziennika Polskiego* ledwieby się zdali do mycia kieliszków reformatorskich, a pod względem przewrotności przydaliby się chyba na owę ścianę pobielaną, o którą pseudoreformator w napadzie demonicznych inspiracyj rozbijał swe kałamarze.

Nie, nie ma strachu, z was moi panowie Luter nie wynijdzie.

Dziennik Polski zdaniem swego kapłana (ks. G.), lepiej robi, łącząc katolików, księży i zakony, którzy z jego kasy srebrników nie biorą — niżeli *Czas*, który to poważa się zasłaniać i bronić, co duchowni *Dziennika* na zaplucie wydali i skazali! ksiądz korespondent dziwi się, że *Czas* tak tkliwy i tak arystokratycznie nos swój zatyka wobec fetorów i paskudztw libellatyków dziennikowych. Dziwi się, bo kiedy w wieku XVI taki uczony i gorliwy kapłan, jak ks. Kuczborski mógł być napisać i wydrukować za aprobatą biskupią, iż kościół „ma przyjaciół, papieży, kardynałów, arcybiskupów, biskupów, kanoników, opatów, ale i z tej strony mało ma pociechy, bowiem wszyscy, co swego jest, szukają, nie co Chrystusowego“ — to dla czegożby redaktorowie *Dziennika Polskiego* mieli tak bardzo grzeszyć, wymieniając tylko tych lub owych i obrzucając ich kłamstwami i potwarzami?

Dla czego? Najprzód dla tego, że *quod licet Jovi, non licet bovi*.

A co uchodzi rogom wołu, nie uchodzi nogom stołu.

Powtóre dla tego, że co napisał Kuczborski, jest znaczne i prawdziwe, a co wy piszecie o religii, kościele i księżach, jest podle i potwarcze. Powiedzieć, że kościół mało ma pociechy z tych, którzyby

dla niego największą winni być pociechą to jest ze swych hierarchów pociechy tej w danej chwili nie ma, powiedzieć to ustami lub piórem, człowieka tak znakomitego cnotą, nauką i miłością kościoła, jak był Kuczborski — to rzecz smutna, ale słuszną! — ale chcieć z tem na równi stawiać bezecne pamflety wyległe z zawiedzionej abmicyi, z nienasyconego pragnienia srebrników, to i szkaradne i głupie, Kuczborski tedy podług was byłby sobie łagodniej począł, gdyby w miejsce tej ogólnej lamentacyi nad brakiem odpowiedniej pociechy dla kościoła był nazwał po imieniu ówczesnych biskupów, pralatów i księży i osądził ich podobnie jak dzisiaj wymieniają i sądzą duchownych kościoła duchowni Dziennika?

A jacyż to byli arcybiskupi, biskupi, jacy duchowni za Kuczborskiego, o których on tak się był wyraził w cytacyi kapłana dziennikowego? Jeżeli waszem zdaniem, twardszym, surowszym ma być sąd ogólnikowy Kuczborskiego, niżeli sądy *Dziennika Polskiego* o wymienianych ustawicznie po nazwisku duchownych, to jakimizby to musieli być nędznikami i niecotami owi praláci z najpiękniejszego wieku naszych dziejów?

„Kuczborskiemu uchodziło, i nikt go nie nazwał odstępca od wiary, wrogiem katolicyzmu, dziś przytoczyć fakta z zgodne z prawdą, ale wykazujące ułomność obyczajową, w tej lub owej osobie duchownej, znaczy tyle, co ściągnąć na siebie większą ekskomunikę“.

Czy Kuczborskiemu uszedłby i ten frazes ogólny, gdyby go wydrukował w pismach ówczesnych nieprzyjaciół katolicyzmu, np. *in bibliotheca Fratrum polonorum*? Ale czemuże są owe pisma ówczesne w porównaniu z dzisiejszemi dziennikami liberalnemi? któryzby z gniazda znakomitości heretyckich, jakim był Pińczów podówczas, a choćby nawet sam Gdańsk, Toruń, nie był nazwał bezbożnemi i bezecnemi podobnych publikacyi jak ta, której panowie piórem swem służycie. Czyż owi heretycy nie mieliby sobie za grzech czytać takie infamisowskie poniewierania wszystkiego co tchnie życiem religii i kościoła, do jakich wy dostarczacie swych kapłańskich ilustracyj?

„Fakta zgodne z prawdą“ Jakie fakta? naprzykład w odniesieniu do sprawy czcigodnej wizytatorki Szarytek — jakie fakta? że wybudowała kościół i dom na kleparzu za pieniądze ściągane swym rozkazem z wszystkich domów Szarytek rozrzuconych po Galicyi? Że kapitały zebrane w Polsce na cele pobożne, wysyła za granicę? Czy są fakta? Zobaczmy jak ich dowiedziecie, gdy wam o potwarz w przytoczeniu tych dwóch faktów będzie wytoczony proces kryminalny, tymczasem potrafimy wam dowieść bez wielkiego trudu, że to nie są fakta, tylko bezczelne wasze kłamstwa, że to nie są fakta zgodne z prawdą, tylko nikczemne wasze potwarze, zgodne z waszym charakterem i z charakterem pisma, które wasze najemne pióra płaci.

To nie są fakta, tylko kłamstwa, bo ani wszystkie domy Szarytek i Misyonarzy rozrzucone po Galicyi, ani nawet żaden z tych domów nie kontrybuował na kościół zbudowany na Kleparzu; nietylko bowiem że matka Talbot nic z tych domów nie wzięła, ale owszem

niejednokrotnie sama przychodziła im w pomoc datkami dosyć znacznemi, te zaś datki z żadnej polskiej nie pochodziły kieszeni. Jeżeli rzeczywiście rzecz nieprawdziwą, twierdzimy, to wzywamy i upraszamy w imię prawdy i sprawiedliwości, aby pospieszono z zadaniem nam i dowiedzeniem fałszu. Niech się odezwą choćby i w *Dzienniku Polskim* owi dobrodzieje, o których Księża będący na zoldzie wspomnianego *Dziennika* wiedzą, i niech dowiodą, kiedy to obdarzyli matkę Talbot owemi krociami wydanemi na budowę świątyni i domów zbudowanych przez nią na Kleparzu. Dał Książd Biskup Łętowski. Dał, to też to jeden, jedyny dobrodziej, któremu miasto nasze zawdzięcza więcej rzeczywiście niż nową świątynię i domy zbudowane na Kleparzu, bo mu zawdzięcza instytucję, dla której i kościół i dom został zbudowany. Dał, ale jakkolwiek w sercach Krakowian wdzięczność za to jest żywa, i będzie niewygasła, to nie sądzimy, abyśmy mogli wyrażać ją przyznawaniem czcigodnemu dobroczyńcy czynów, które do innych należą.

Książd Biskup Łętowski kupił dla Sióstr Miłosierdzia na Kleparzu stary kościółek, już od dawna obrócony na wyspkę, wraz z przyległym domkiem i bardzo małym ogrodem i to wyrestaurowawszy oddał matce Talbot, dla której zawsze do końca życia żywił głęboki szacunek. Mała ta fundacya wnet się rozprzestrzeniła staraniem i kosztem Wizytatorki: przykupiła ona kawał ogrodu i graniczące posiadłości, to jest domki na pół zrujnowane, gdzie się mieściły najokropniejsze szumowiny przedmieściowe. Kościół już wybudowany został po śmierci Księdza Biskupa fundatora. Wiadomo dobrze, iż Książd Biskup Łętowski nigdy nie miał wielkiego majątku. Majątek jego rodzinny był mniej niż mierny; stanowisko Administratora dyecezyi było nieco bogatsze pod względem uposażenia, ale kilka tylko lat trwało i z r. 1848 się skończyło. Stanowisko Dziekana kapituły miało przyzwoite uposażenie, ale do bogactw bardzo mu było daleko. Książd Biskup prowadził życie oszczędne, ale wiadomo, że był gościnnie i w przyjmowaniu bynajmniej nie skąpy. Co się tyczy miłosierdzia dla ubogich, to było w całym znaczeniu tego wyrazu biskupie i nie dopuszczało, aby majątek wzrósł w kapitały. Nadto, wydawał on dzieła wielkich rozmiarów i nie szczędził nakładu. Do wydania swej Katedry na Wawelu sprowadził pierwszorzędnego artystę.

Zkądże przy tak szlachetnem użyciu dochodów kościelnych mógłby się uskładać jakiś wielki majątek? Jakkolwiek zatem były jeszcze legata, ale najprzód nie dla samych Sióstr miłosierdzia (wiadomo bowiem, że piękna cząstka przypadła też i na udającą się za granicę czeladź rzemieślnicza); a potem nie mogło przypaść wiele. Z tego co dostał dom Szarytek trzeba było żyć. Mogło to być wystarczycie na jakie lat kilka. Ruchomości nie spieniężono wcale. Obrazy dotąd czekają na nabywców, a nie są to bynajmniej jakieś arcydzieła. Powóz, konie, meble, wszystko to dotąd jest w domu O legatych, któreby zostały użyte na budowanie domu i kościoła, może zatem tylko wiedzieć duchowieństwo wycierające kąty w Redakcyi *Dziennika Polskiego* — podobnie jak inna redakcyja lwowska wie o kapitalach jezuickich, ale

komuż tajno, jak daleko bywa od twierdzeń tych redakcyj do rzeczywistości, zwłaszcza gdy idzie o zakony!

Większem jeszcze kłamstwem jest twierdzenie o legacie ś. p. hrabi Rzewuskiego. Znakomity majątek tego pana przeszedł w trzech czwartych do Włoch na dzieci Księcia Cajetani, za którym była ś. p. siostra Hrabiego — zaś w jednej czwartej z prawa, dostał się wdowie po zmarłym. Legatów żadnych nie było. Cała rzecz, że matka Talbot kupiła od hrabiego kawał ogrodu, ale kupiła i na kupionym gruncie za swoje budowała.

Jeszcze kolosalniejszym kłamstwem i potwarzą kwalifikującą się tylko do sądowej rozprawy, jest twierdzenie, że Matka Talbot nadużywa wiary, zaufania i szczodrobliwości osób przystępujących do stowarzyszenia mającego na celu niesienie pomocy duszom cierpiącym w czyśćcu, założonego przez księży Misyonarzy na Kleparzu, i że kapitały tego Stowarzyszenia, stanowiące stypendya mszalne, przesyła do Francji. Kto wie, jaki jest stosunek naszego kraju do Francji pod względem stypendyów mszalnych, ten nie potrzebuje, aby mu dowodzone, czy to jest podobne do prawdy, aby od nas przesyłano stypendya do Francji. Niema może kraju, w którymby stypendya tak były mnogie jak we Francji, a skrupulatność duchowieństwa francuzkiego w rozdziale tych stypendyów weszła prawie w przysłowie. Sam ksiądz Soubieille, przełożony Misyonarzy kleparskich, rozdał u nas przeszło 2000 stypendyów, a to jest jeszcze bagatela w porównaniu z ogółem stypendyów, które z Francji idą na wszystkie strony świata, aby jak najprędzej msze mogły być odprawione, gdyż duchowieństwo francuzkie ani za pięć lat nie byłoby zdolne odprawić tych mszy świętych, na które przez rok wpłyną stypendya. Wiadomo także, że w samej Francji niektórzy z duchownych nie mających stanowiska parafialnego, żyją prawie li tylko ze stypendyów. Nasi naprzykład księża emigranci, którzy dla nieznamości języka francuzkiego żadnego czynnego stanowiska otrzymaćby nie mogli, całą swoją egzystencję opierali na stypendyach, które im zwykle udzielano, bogatsze np. po 5 franków na mszę. I to do tej Francji Matka Talbot ma wysyłać stypendya udzielone w Krakowie przez członków Stowarzyszenia wzmiankowanego! Mam przed sobą księgę przychodów i rozchodów tego Stowarzyszenia, sprawdzanych rok rocznie i podpisywanych przez dyrektora (Soubieille) przez kasyera (ks. Kostrzewskiego i Coursières) oraz przez członka Rady, ks. Ptaszyńskiego. Stowarzyszenie istnieje od roku 1866, prócz pierwszego roku, w którym 48 osób wpisanych zapłaciło 563 reńskie, a w którym prócz tego tytułem częściowych opłat wpłynęło 160 reńskich — przez resztę lat następnych nigdy przychód nie przenośli 150 reńskich. Na msze święte rozdawano zawsze odpowiednią liczbę stypendyów, mniej więcej rocznie 80 reńskich — jałmużny rozdane zapisane są w rubrykach rozchodów. Od czasu do czasu Stowarzyszenie za wspólną naradą zakupuje papiery, których dotąd posiada za dwa tysiące kilka set reńskich, a które się znajdują w kasie Stowarzyszenia. Oto jest cała historia owych olbrzymich opłat na prawo i na lewo, oraz spekulacji

i kapitałów, które wedle denuncyacji duchownego policyanta z redakcyi *Dziennika Polskiego*, mają być wysyłane za granicę.

Pytam się, czy można dalej posunąć bezczelność?

Duchowieństwo *Dziennika Polskiego* nie zna pod tym względem granic i dowodzi, że można jeszcze iść bardzo daleko, robiąc niby cytaty dosłowne z ustaw wspomnianego Stowarzyszenia, jak np. cytata następująca:

„iż ta lub owa kwota ratuje dusze czyścowe aż do czwartego pokolenia“.

Właśnie przy tej cytacie kapłan z dyecezyi pana Lama umieścił odsyłacz do przypisku, w którym napisał, że słowa owej cytaty są zamieszczone „dosłownie według statutów Stowarzyszenia.“

Prosimy ich szukać i przekonać się o dobrej wierze *Dziennika* i jego Fra-Paolów. Aby dowieść, że spotwarzać publicznie i lżyć stan duchowny jest rzeczą dobrą i piękną, na której się nie umie poznać nasz uczciwy i katolicki *Czas*, broniący duchowieństwa przed obelgami *Dziennika*, aby, mówię, tego dowieść, wyrwa teolog dziennikowy ustęp z dzieła Kuczborskiego, w którym ten słusznie twierdzi, że Kościół z owych duchownych mało ma pociechy, którzy grzeszą samolubstwem. Według tedy teologa *Dziennika*, wyrobionego nie na jezuickiem Molinie, ale na wielkich zasadach liberalizmu, powinniśmy tak rozumować: Ks. Kuczborski w XVI w. robi duchownym zarzut samolubstwa i lamentuje, że Kościół z powodu tego samolubstwa nie ma należytej pociechy — a więc (słuchajcie!) a więc księży z redakcyi *Dziennika Polskiego*, który na to powstał i na to pisze, aby Polakom zohydzić Kościół katolicki, dobrze i pięknie się sprawują, łącząc i spotwarzając w XIX wieku biskupów, księży, zakonników i zakonnice po nazwisku wymienianych.

O! Ojczy Sarpi, który będąc mnichem weneckim w XVI i na początku XVII wieku, zostałeś za twą nienawiść dla katolickiego Kościoła teologiem rządu weneckiego dla obrony interesów katolickich przeciw zamachom Jezuitów, księży, biskupów, papieżów i samego nawet Soboru Trydentckiego — jakżebyś miał godnych naśladowców w teologach *Dziennika Polskiego*, gdyby tylko nieźrównanej przewrotności ich serca odpowiadała twoja wyrobiona, cyniczna umysłu spokojność.

Wtenczas deportacje, konfiskaty, dyby, szubienice i tortury weneckie, używane szczerze przeciw Jezuitom (za radą owego najczciodszejszego Ojca Sarpi), o których rozpisując się *Dziennik Polski* (12 września) aż się obliżuje i aż gorączki z pragnienia dostaje — jużby może na dobre dały się wznowić w Galicyi — ale cóż, kiedy duchowni doradcy i teologowie rzeczypospolitej redakcyj liberalnych, jeszcze tacy niewyrobieni, tacy niespokojni, nieprzezorni!

Kuczborskiego cytują! Tego zaciętego zwolennika i obrońcę ustaw Soboru Trydentckiego. — Oni go cytują, których już tyle razy sam p. Lam, może nawet sam podesta, nieustępujący weneckiemu, pasował i doktoryzował na polskich Sarpich!

Kuczborskiego cytują, chcąc dowieść, że:

„Łgać i lżyć to jest arcynota,

Byle zręcznie na papizm spadała sromota!“

I jeszcze na dobiecie dla tego Kuczborskiego cytują, że książka jego aprobowaną była przez władzę duchowną. A w tym samym artykule, nieco niżej wytaczają proces o herezye, o szalbierstwa, o obdzieranie religii z charakteru świętości, a to wszystko z powodu książki o Stowarzyszeniu dla wybawienia dusz z czyścica, książki, której cała pierwsza stronica zapelniona jest aprobatą władzy duchownej — książki, o której aprobata mówi, że się nie w niej nie zawiera przeciwnego wierze i dobrym obyczajom i na której stoi grubo wydrukowane *Imprimatur*, podpisane przez księdza prałata Teligę, dziekana katedry krakowskiej, zastępcy *Illmi Ordinarii loci*, rektora uniwersytetu krakowskiego!

Jakże jednak teologowie *Dziennika* mają być należycie przeczornymi, kiedy nawet sam zastępca podesty, w tym samym numerze przeczorniał najgrubszą nieprzechornością. Bo tylko uważcie!

Kiedy kapłan i teolog *Dziennika Polskiego* w tej samej kolumnie, gdzie wygaduje na Matkę Talbot jako niby przeciwniczkę romanizmu a czcicielkę galikanizmu, — to jeszcze gwałtowniej wygaduje na nią, o to, że do czynności konsekuracyjnej nowego kościoła zaprosiła rzymianina, księdza Falcinellogo, nuncjusza papieskiego, a nie zaś biskupa polskiego, — to wtedy właśnie redakcja *Dziennika* bez względu na to, że jej teolog ma za zbrodnię Matce Talbot, iż zamiast biskupa polskiego zaprosiła nuncjusza, jakby to konsekracja dopełniona przez Włocha a do tego nuncjusza, obfitsze zapewniała błogosławieństwa, niż gdyby tego dokonał biskup polski, bez względu na tę grubą imputację, zamieszcza w tym samym numerze o jedną stronicę niżej korespondencyę z Tarnowa, wyraźnie znowu przez jakiegoś swojego kapłana i teologa napisaną, w której ten dwóch biskupów polskich, to jest tarnowskiego i krakowskiego lży jako austriackich i staroaustrzyackich patriotów, i kondemnując jednego z nich jako niepoprawnego, drugiemu wspaniałomyślnie przebacza, w nadziei że się poprawi z poczucia hohewartowskiej austriackości, w której dotąd celował.

Taka jest logika redakcyi! — Dziękujmy Bogu za to, bo cóżby to było, gdyby głowy tych panów odpowiadały ich sercom, jak odpowiadały u podestów weneckich i u wielebnych Sarpich.

Co się tyczy powodu, dla którego Matka Talbot zaprosiła nuncjusza, powód ten nie potrzebuje wykładu, bo nuncjusz papieski ani dla Matki Talbot, ani dla Krakowa nie jest obcym, ale owszem jest swojskim. Nuncjusz papieski wśród katolików, zawsze jest wśród swoich. Redakcja *Dziennika* mając swych kapłanów, może ma i swoich biskupów, swoich nuncyuszów, wobec których nuncjusz papieski byłby obcym — ale cóż, kiedy owi jej biskupi, równie jak kapłani, gdzieś w podziemiach funkcjonują. Zkądże Matka Talbot mogła o nich wiedzieć?

Matka Talbot tak sobie postąpiła. Prosiła księdza biskupa Gałęckiego, jako swego biskupa, aby raczył podjąć akt konsekuracyjny — ale ksiądz biskup tego lata w skutek ciężkiej choroby tak osłabł, iż zupełnie niepodobieństwem byłoby dla niego spełnić czynność tak dalece pracowitą i nużącą jak jest czynność konsekuracyjna. Wprawdzie jest jeszcze w Krakowie drugi biskup, tj. dawny ks. biskup Tarnowski, ale czcigodny ten pasterz, jakkolwiek radby był korzystać ze sposobności oddania Krakowowi tej pięknej usługi — nie mógłby się tego żadnym sposobem podjąć, prócz bowiem lat przeszło ośmdziesięciu, jest też w skutek cierpień fizycznych bardzo osłabiony.

Matka Talbot udala się więc z prośbą do nuncjusza, który prawił w rzymską i biskupią uprzejmością zaprosiny przyjął, rad będąc zapewne, że się znowu znajdzie w tym małym Rzymie, w którym przed kilku laty i pobożność wiernych i serdeczność katolickiego obywatelstwa przypomniały mu starego Rzymu piękniejsze niż obecne chwile.

Wobec *Dziennika Polskiego* i jego kleru tak wyższego jak niższego to nie jest żadna racya. Oni chcą koniecznie, żeby kościół Matki Talbot był konsekrowany przez biskupa polaka, bo oni są straszliwie polscy, a potem oni wierzą mocno, że konsekracya biskupa polskiego byłaby daleko ważniejszą, niżeli jakiegoś tam Włocha: dużoby więcej ściągnęła błogosławieństwa, a oni o nic tak nie dbają jak o błogosławieństwo dla Polski, dla Krakowa, dla Szarytek i dla Matki Talbot. Zkąd wzięść to wzięść — hyle biskup był polski! Ciekawi jesteśmy czy *Dziennik* byłby zadowolony, gdyby naprzykład matka Talbot zaprosiła ks. arcybiskupa Ledóchowskiego? Miałażby dopiero za swoje. *Dziennikowi* nie chodzi ani o ski, ani o cki, jemu chodzi o rzecz polską, o ducha polskiego — komu on tego ducha nie poświadczy, niech się nazywa, jak chce, Polakiem nie jest — komu da świadectwo, niech się nazywa Lamech czy Lam — Polakiem będzie! Co się tyczy polskości, oni jedni mają na tę rzecz miarę i wagę. Niechby sobie ktoś był polakiem do szpiku kości, niechby mówił, działał i pisał i poświęcał się z całą siłą charakteru polskiego, jeżeli się znajdzie według ich miary za lekki, albo za krótki — precz z nim! choćby to był człowiek niewiedzieć jak wypróbowanego patryotyzmu. Oto, co redakcya oświadcza uroczyscie: „powoduje nami nie walka o osoby, ale interes kraju (naturalnie interes zrozumiany w myśl natchniona z Wiednia), a w kraju panuje anarchia moralna, socyalna i ekonomiczna... że żyjemy w anarchii moralnej, socyalnej i politycznej, to z pewnością wiemy nie trwając się ani o kapucynów, ani o jezuitów żyjących czy to w Wenecyi, czy w Tarnopolu itd.“

O tartiufy obrzydliwe! tartiufy patryotyzmu, równie jak polskości i religii! wamże to przystoi kraj ostrzegać o anarchii? wam, którzy wszystko, czem kraj stoi i idzie, radziłyście z gruntu wyrwać, wszystko czem żyje, chcielibyście zdusić! wam, którzy nikomu pokoju nie dacie, na nikim czei nie zostawicie? wam, którzy od początku waszego istnienia dajecie na wyszcigi z podobnymi wam przyjaciółmi prawa i porządku, lekeye spotwarzania wszelkiej cnoty, plwania na

wszelką powagę, i deptania wszelkiego prawa, prócz tego którem nas duch Giskrów obdarzył w zakresie kościelnym.

Jest anarchia moralna! żyjemy w anarchii moralnej! prawda, ale odkąd? Czyż nie odtąd właśnie, odkąd wy z takim cynizmem dla wszystkich brudów wiedeńskich staliście się kanałem dla tej nieszczęśliwej części Polski, w której grasujecie? Powiadacie, że nie wiecie, kiedy nas spotka podobna katastrofa, jak ta przez którą przeszła w ostatnich czasach Francya. Otóż cały kraj to czuje, czego udajecie że nie wiecie, to jest, że jeżeli tej anarchii wyuzdanej jaką wyście inaugurowali w kraju i jaką doprowadzacie do ostateczności, jakaś nadzwyczajna interwencya prawa nie położy kresu, tedy ta katastrofa lada moment do reszty nas pochłonie. Wy jesteście szerzycielami tej obrzydliwości spustoszenia, za którą nieuchronnie kroczą katastrofy!

Wszystkiego się czepiacie, aby tylko znaleźć nowy powód do szerzenia anarchii moralnej, społecznej i potem, owszem w tej samej chwili, śmiecie denuncyować, oskarżać, rzucać na łup podburzanej przez was opinii, ludzi spokojnych, pracowitych i obowiązkom obywatelskim poświęconych. Już sami nie wiecie co robicie, co mówicie i piszecie w zażartości, z jaką się na wszystko i na wszystkich rzucacie. W tym samym ustępie, gdzie niby przerażeni anarchicznym działaniem, o katastrofach przebąkujecie, śmiecie lamentować nad tem, że mimo wszelkich waszych zabiegów, pojęcia i zasady wam udogodne, są między nami w całej pełni czynne, nie tylko w wyższe warstwy ale i w prosty lud wsiąknięte.

Chcecie więc to zniszczyć, to zabić, to wydrzeć co jest jeszcze w narodzie? co w nim w całej pełni działa? czem żyją i wyższe warstwy i lud prosty? Jeżeli tak, więc czegoż wy chcecie innego, jak tylko aby burzyć, burzyć i burzyć?

Wyższe warstwy i prosty lud! I to co u nas w całej pełni jest czynne, to wam zawadza? przeciwko temu walczycie, rewolucyjne i anarchiczne wasze działania tartinferyą konserwatyżmu zlocicie, a na tych, którzy was demaskują, lub którzy swoim obywatelskiem działaniem wasze zamiary krzyżują, chcielibyście wywołać nienawiść i wżgardę, chcielibyście wznowić dyby i szubienice i drżycie z niecierpliwości, targacie się w oczekiwaniu na podobną gratkę, jaka się na chwilę gdzieś indziej zdarzyła wam podobnym przyjaciółom porządku i prawa?

Nie chcecie się troszczyć o tych, którym wytchnąć nie dacie ale każdą ich najoczywistej niewinną i zacząć czynność szkalujecie aby tylko nowe wywołaływać niepokoje, aby tylko alarmować publiczność i nie dopuścić, aby naród zjednoczony miłością we wszystkich swych warstwach mógł spożytkować szczęśliwie zdarzone dobra i udzielone swobody. Szczególniej chcielibyście naród z tymi pokłócić, którzy mu dotąd przewodniczyli na drodze pokoju i miłości! z przedstawicielami życia, działania i kierunku religijnego! Z jednej strony zarzucacie im, że na swem stanowisku nie chcą być obywatelami — z drugiej, że nimi chcą być zanadto — z jednej strony rzucacie na nich podejrzenia o zamach działania politycznego ze stanowiska religijnego — z drugiej ciskacie na nich klątwy za to, że na swych stanowiskach strzegą

się w swoim działaniu wszelkiego udziału w agitacjach politycznych. Chcą aby religia wpływała na życie i działania obywatelskie? stawiać ich zaraz za to pod pręgierz, jako agitatorów; chcą znowu natchnąć ludzi myślą o wiecznej ojczyźnie? zaraz ich policzkujecie i kopiecie jako szarlatanów lub pasożyty. Czy kościół sobie budują, czy zbudowany chcą konsekrować; czy się modlą za dusze, czy idą na odpust, czy chcą pracować w szpitalach, czy chcą pracować około kształcenia młodzieży — wszystko wam szkodzi, wszystko musicie skarżyć, walczyć i potępiać, abyście zaś to mogli czynić i ze stanowiska religijnego, kościelnego, duchownego, którego nienawidzicie i którym pogardzacie, rekrutujecie sobie pomocników z ludzi nędznej głowy i nędznego charakteru i każecie im się ubierać niemal pontyfikalnie, aby z powagą religijną i w formie kościelnej plwali na kościół i deptali sprawę religii!

Jak rząd schyzmatycki, aby tem skuteczniej mógł niszczyć katolicyzm w Polsce, w Rosyji i na Litwie, zebrał sobie duchowieństwo z takich pięknych indywiduów złożone, jak np. Owerbek i Pichler — (ów Pichler, który dla was liberaly, taki był genialny i święty, póki teologował i agitował przeciwko Soborowi Watykańskiemu, a któregoście zaraz zrobili jezuitą, skoro się dopuścił złodziejstwa), jak tedy rząd schyzmatycki takich sobie nzebierał księży, aby ich ustami i piórami walczyć prawdę katolicką — tak wy przychodzicie do coraz większej hańby kapłanów, abyście przez ich korespondencye i artykuły puszczały w świat kłamstwa i obelgi, którychby się może własne wasze pióro wzdrygnęło. Artykuł wasz o pani Talbot uniemożliwił na przyszłość wszelkie monogramy i pseudolitere. Niechże wasi kapłani mają odwagę przynajmniej podpisać się sami, zanim imiona ich będziemy zmuszeni podać do wiadomości, aby publiczność wiedziała, że w monogramy i pseudogramy nie pokora ani skromność, ale obawa zaszkożenia jakiej takiej powadze ich pism, pokrywa tych jegomościów.

Do imion wspomnianych w artykule o Baudouinie krakowskim, imion prawdziwie szacownych owych kapłanów, którzy próbowali swego powołania u księży Misyjonarzy kleparskich, możnaby dodać jedno jeszcze imię z umysłu przez panów zamilczane, jako mogące popsuć sprawę pseudogramów waszego kapłana - korespondenta z Krakowa. My tego imienia obecnie wymienić nie chcemy, aby go nie postawić za blisko imion Rademacherów i Ozarowskich, ale jeżeli je dziś przemilczamy z obawy ubliżenia wspomnianym co dopiero szanownym imionom, to zniewoleni niegodnym postępowaniem kapłanów *Dziennika Polskiego* usuniemy parawan pseudogramu, jaśniejszą niż to czynimy obecnie i dobitniej.

Kończymy zapytaniem, które nie umiejący się szanować kapłan-korespondent zechce wziąć na uwagę:

I. Czy jegomość znasz prawa kanonicznego *de Libello famoso*, to jest o potwarcach, którzy drogą ulotnych publikacyj usiłują zniesławić bliźnich? Wszystkie pięć warunków, jakich wymaga prawo, aby potwarca był miany za takiego, pismo twoje przedstawia: Po pierwsze: ukrywasz swe imię; powtóre: wymieniasz nazwisko osoby,

którą spotwarzasz; potrzebie: publikujesz twoje potwarze (*quod est de substantia libelli famosi*); poczwarte: czynisz to, stojąc na zdradzie osobie spotwarzanej i wszystko ku temu naciągasz, abyś ją zniesławił; popiąte: zarzucasz rzeczy, które gdyby mogły być dowiedzione, stanowiłyby przeciwko niej oskarżenie o grubą występki.

Czy wiesz, jak się to nazywa w prawie kościelnym?

„*Crimen gravissimum et detestabile.*“

Czy wiesz jaka za to kara?

„*Jure canonico sancitum est, quod tales rei anathematizentur, fustibus ac verberibus carpiantur.*“

Czy wiesz jakie za tem następstwa według prawa rzymskiego?

„*Hujus modi rei efficiuntur infames.*“

A jeżeli pismo tego rodzaju wymierzone przeciwko stanowi zakonnemu, to czy wiesz, że oprócz kar powyższych „*Auctor est ipso facto excommunicatus excommunicatione majori Papae reservatae*“ — przeczytaj Ferrarisa ustęp *de Libello*, a przyznasz, żeśmy ci jeszcze nie wszystko przypomnieli, co się należy z prawa podobnym tobie. Widzisz, że mając wzgląd na twe stanowisko w redakcyi, która się odznacza jezuito-żerstwem, nie odsyłamy cię do autora jezuickiego, ale owszem do dzieła kanonisty ze gromadzenia z którego wyszedł był Klemens XIV.

A nie mów, że twoje pismo nie jest potwarze, gdyż prawdę napisałeś. Bo najprzód dowiedliśmy ci, żeś tylko nakłamał; bo potwóre, choćbyś miał przekonanie, żeś nie wszystko skłamał, to prawo mówi, że: „*poena libelli famosi habet locum etiam si quis in eo verum dixerit* (ustęp 31).“

II. Jeżeli jesteś kapłanem choćby na pismo święte wzgląd mającym i też pismo cytować chcącym, to wiedźże, że aby cytować pismo, trzeba je pierwej znać, a znając nie trzeba go wykრęcać. Twoja cytacya: *omnis lingua confiteatur Deum*, dowodzi że albo sam nie wiesz co cytujesz, albo wiedząc przekręcasz. To tem gorsze, że cytujesz niby dosłownie, bo w tekście łacińskim. Zobacz list do Filipieńczyków, rozdział II. w. 11 a przyznasz żeś zacytował fałszywie.

III. W tym samym liście i w tym samym rozdziale zaraz na początku Apostoł wzywa wiernych temi słowy: *ut idem sapiatis, eamdem charitatem habentes, unanimes, idipsum sentientes*. To jest, zachęca do jednomyślności. A z kimże ty jesteś *homo unanimes*? Z kim jedno myślisz? Czy nie z tymi, których psalmista zowie katedrą zaraźliwości i synagogą złośliwów: *Ecclesiam malignantium*?

Nareszcie ponieważ się miotasz kapłaństwem polskiem — powinieś wiedzieć, że kapłan polski, któremu tak bardzo idzie o to, aby polska mowa dominowała w świątyni, i który robi z tego zarzut Matce Talbot, że zaprosiła biskupa włocha do konsekracyi swego kościoła, że taki tedy kapłan polak, winien znać przepisy i naturę mowy polskiej, a jegomość jej całkiem nieznasz, albo znasz podług żargonu jakim piszą w Redakcyi *Dziennika Polskiego*. Tak naprzykład, w jednym zdaniu twego pisma, w którym dowodzisz, że kto broni Duchowieństwa, ten je znieważa, a kto je lży, ten je czci — użyleś

aż pięć razy wyrazu przyczynowości. Oto je wypisujemy z tego jednego zdania: bowiem, iż, gdy, bo, to, (bis). W dwóch zaś wierszach tegoż zdania położyłeś pięć razy zaimek wskazujący; ci, ten, ów, to, co. Pierwsza forma przystoi chyba mowie niemieckiej nie polskiej — druga z pewnością jest niemiecką, a podobno że jest także ulubioną formą żydowsko-niemieckiego żargonu, używanego przez polskich żydów.

Ale co się tyczy polskości mowy, jest ona u Ciebie wyraźnie taka sama jak i polskość uczuć — jest to zgoła polskość pana Lama et consort.

Im bardziej udajecie, że was polskość obchodzi, tem ją smutniej kaleczycie i łamiecie. Gniewacie się naprzykład na pana Soutschek'a, że jakieś podanie zrobił po niemiecku, chociaż się stara o urząd w Bohorodeczanach, które nie leżą w Brandeburgii, i z tego powodu tak się wyrażacie (Nr. 251. 12 września):

„Donoszę o podaniu p. Soutschek'a, które po niemiecku ma się rozumieć jest napisane, do publicznej wiadomości z tego powodu, by w razie istotnego zamianowania p. Soutscheka notaryuszem w Bohorodeczanach, wykazało się, jak dalece rząd chciałby uszczęśliwić kraj nasz.“

Czy korespondent donosi do publicznej wiadomości, czy podanie p. Soutscheka napisane do publicznej wiadomości?

Z tego powodu, by! i wykazało się! Jakież to arcy-polskie!

Ten sam polak *Dziennika polskiego*, pisząc o teatrze, powiada że teatr w Stanisławowie żyje i dysze (*sic*).

A zaraz niżej taką robi uwagę:

„Pan Woźniakowski zasługuje na wszelkie uznanie, lecz tylko on: po za niego, reszta jego współpracowników musi jeszcze lata długie czekać i pracować bardzo.“

Po za niego, reszta musi czekać i pracować bardzo!

Das ist famos!

To nam przypomina polszczyznę „krakowskiego“ liberalnego organu exorcyzmowanego formułą: *Et haec sunt facienda et illa non omittenda*.

Tylko że krakowski *abundat in dativo*, lwowski więcej *in accusativo*.

Krakowski pisze naprzykład, że jemu się rozchodzi, a Lwowski, że po za niego musi czekać.

Jeżeli się tobie rozchodzi, kapłanie *Dziennika*, o polskość *Dziennika*, to jeszcze po za pana Lama musisz czekać i pracować, ale nie bardzo.

KSIĄDZ Z KRAKOWA.

K r o n i k a.

Sąd wojenny w Wersalu. — Zasady 89 roku. — Nauka bez wiary. — Adwokatura francuska. — Właściwi Ojcowie Komuny. — Podpalaczki. — Mowa kapitana Juene. — Sytuacja Europy. — Rządy wobec Kościoła. — Internationale. — Przyszli ministrowie rządów. — Zwycięstwo. — Rzym — wywłaszczenie klasztorów. — Rewolucyoniści. — Mowa na pogrzebie. — Konfiskata dzienników. — Biskupi szwajcarscy. — Z Moguncyi. — Ks. biskup Maret. — Z Paryża. — „Przegląd Polski“ wobec „Gazety Narodowej“. — Patryoci. — Pan Kraszewski. — „Gazeta Literacka“. — „Tygodnik Wielkopolski“. — Dr. Laforet a Dr. Zgórski. — Starożytność człowieka.

Sąd wojenny w Wersalu przedstawił nam w całej sromocie charakter apostołów rewolucyi. Zasady 89 r. niezdolne już wydać odważnych nawet zbrodniarzy, — komuniści pokazali się zwyczajnymi nikczemnikami. I w tym nawet razie rewolucya najkompletniejszego swego bankructwa złożyła dowody. Oskarżeni byli w większości ludźmi z inteligencji. Wykształcenie nie uchroniło ich od popełnienia zbrodni tak samo i ich rzeczników nie powstrzymało od zaronienia wszelkiego poczucia honoru i przyzwoitości. Pokazuje się, że samo wykształcenie bez religii nie wystarcza, aby szlachetne strony w charakterze ludzkim od skażenia ochronić. Adwokatura francuska, stając dobrowolnie w obronie komunistów, utraciła poczucie honoru. *Il y a une pudeur professionnelle*, który nie pozwala uniewinniać zbrodni i to takiej jeszcze, która jest doktryną i teorią samą. obrońcy komunistów o tem zapomnieli. Bronili zbrodniarzy odważnie z pewnym rodzajem efronteryi, powiedzmy po polsku cynizmu. Smutny to znak czasu. — Pokazało się następnie w ciągu procesu, że oskarżeni należeli nie tak jeszcze dawno do stronnictwa politycznego dzisiejszych ministrów i rządzców Francyi, — niektórzy z nich byli nawet przyjaciółmi ostatnich. Słusznie przeto ktoś był powiedział, że na ławie oskarżonych posadzić należy pomiędzy komunistami pp. Thiersa, Jules Favra i Jules Simona.

Po osądzeniu bandytów komunny, przyszła kolej na podpalaczki. I między temi nie same tylko indywidualna z ulicznego motłochu się znajdują. Są i takie, które sprawowały obowiązki nauczycielek. I tutaj wykształcenie nowoczesne pokazało swoją niemoc. Wszelkie systemata wychowania kobiet przyniosą w skutkach swoich same kłeski, jeżeli one nie będą na gruncie religijnym oparte. Godzi się nad tem nieco zastanowić. Jedna z podpalaczek była przełożoną szkoły żeńskiej u św. Sulpicyusza. Komisarz rządowy kapitan J u e n n e, oskarżający z urzędu swego te zbrodniarki, właśnie robi silny na to nacisk. — „Kobieta (mówi on) przedmiot naszej miłości i czci, jeżeli cała oddana staraniom o rodzinę, jest jej przewodniczką i opiekunką, wywiera szczęśliwy i użyteczny wpływ na wszystkich. Lecz gdy zbacza od tego świętego powołania, wpływ jej zmienia charakter i jest tylko duchem złego. Staje się potwornością moralną. Kobieta taka niebezpieczniejszą jest od najniebezpieczniejszego mężczyzny. Pociąga go za sobą i gasi w nim resztę chwalebnych skłonności.

Historja dostarcza nam tutaj dowodów. W r. 1793 północzniczki klubów i nieszczęśliwe, które zasłużyły sobie na przydomek „furyj gilotony“ przestraszyły świat.

Można było mniemać, że ten niegodny rodzaj rozplemi się? Przez jakąż straszną fatalność spotykamy w roku 1871 jego przykłady. Te które stoją dziś przed wami, są to córki meger 1793 r.

Gdyby przynajmniej wszystkie były pozbawione darów inteligencji, gdyby wszystkie były bez żadnej nauki, niezdolne pojąć swej zbrodni, wtedy zlorzeczając im, możnaby je żalować. Lecz wśród tych kobiet — rumienie się, że im dają tę nazwę, — znajdziecie takie, które nie mogą odwoływać się do łagodzących okoliczności.

Jakież gorzki zawód dla ludzie utrzymujących, że wykształcenie samo podniesie niewiastę? Między oskarżonymi, widzimy nauczycielki!

Dokąd to prowadzą niebezpieczne utopie! Wyswobodzenie kobiety, forytowane przez doktorów, którzy liczą na to, aby w nich zyskać licznych swych pomocników.

Aby je skusić, migano im przed oczyma najniesłychańszymi urojeniami, mówiono o kobietach adwokatach i t. p.

Zdawałoby się mogło, że się marzy wobec podobnych aberacji. A jednak owe przesady miały miejsce w pismach, których kobiety — niektóre sławne — były autorami. Wszyscy ci doktorowie, owi apostołowie bezładu, otwarli tę szkołę, z której wyszły wszystkie te bohaterki, co na ambonach naszych świątyń zastąpiły słowo ewangelii propagandą zbrodni¹⁾.

* * *

Pomimo skazania na śmierć dwóch komunistów, Ferry'ego i Lullier'a, nie sądzimy jednak, aby stronnicy Komuny przerażeni, z torów swoich zepchnięci zostali. Nie, stronnictwo porządku nie zapewniło sobie wcale tem przyszłości, tem więcej, że powierzyło rządy Thiersowi, który niechętny zawsze zasadom katolickim, mimo swojego konserwatyizmu, folgując partyi rewolucyjnej, ułatwia tem samem komunistom powrót do opanowania Francji. Nie ludźmy się — rewolucyoniści świadomi stanu rzeczy, prawdę mówią, że niezadługo sędzić i mordować będą dzisiejszych swoich sędziów. I nie samej jedynie Francji grozi niebezpieczeństwo — Europa cała stoi na wulkanie i to stokroć silniej kotlującym się wewnątrz niż przed zwalczaniem i wzięciem przez Wersalczyków Paryża. Wybuchu nie zażegnają rządy ani brutalną siłą swoją, ani kokietowaniem swoim z rewolucją i przesładowaniem Kościoła dla pozyskania sobie jej względów. Internationale z nihilizmem moskiewskim ucałowawszy się serdecznie, jak kancer roztoczą całą Europę. Rozkład niezadługo nastąpi, tem rychlej, im srożej Kościół uciskanym będzie — on tylko bowiem mógłby ubezwładnić a następnie pokonać wroga tak społeczeństwu jak i rządowi doktryny — siła brutalna zaradzić temu nie zdolna. Kiedy bowiem rządy usuwają Boga i Jego przykazania z kodeksu praw ludzkich, ludzie nie widzą przyczyny, dla czego mają je znosić — bojaźń kary może czas jakiś trzymać ich jeszcze w ryzach, ale niechaj tacy panowie jak Jakobi, Bebel, Karol Marx, Grousset, zorganizują ich w jedno silne ciało,

¹⁾ Cały ten ustęp wzięliśmy z „Czasu“ i P'Univers'a.

wonczas cóż do posłuszeństwa prawom ludzkim zniewalać ich już może? przeciw sile, siłę postawią, sami będą dla siebie prawem, władzą *ôte toi de là* zawołają na rząd *que je m'y mette* — ustąp nam z miejsca — nie podobasz nam się, idź precz, a nie, to sobie z tobą damy już dziś radę. I co na to powiedzieć? Boga w sumieniu ludu już nie ma. I rządy, albo ustąpić będą musiały, mianując ministrami takich Marxów, Bergeretów i Mazzinich, jak Ludwik XVIII królobójcę Fouchégo aby spełniać służbę pacholków rewolucji — albo głowy rządzących legną pod toporem kata. Jedno z dwojga czeka nas niezadługo. Nie ludźmy się, rządy tracą grunt pod sobą, sprzeniewierzając się Bogu, walcząc przeciw Kościołowi, przygotowują wolne pole dwom zapaśnikom, których rozwój zatamować dzisiaj usiłują — rewolucji i Kościołowi katolickiemu. Dla nich miejsca tutaj już nie będzie. Staną tylko do walki z Kościołem rozkielznane hordy rewolucji. Zwarcie będzie krwawe — bój może długi — ostateczni zwycięzcy będą panami Europy i oni dopiero wedle zasad, jakie sami wyznają, urządują społeczeństwo. Takimi zwycięzcami wcześniej czy później będziemy my, my katolicy, bo porządek, sprawiedliwość, Bóg, zwyciężyć ostatecznie muszą! Można jednak uniknąć jeszcze tego przejścia, ochronić ludy od gromów straszliwych — społeczeństwo od klęsk bolesnych, gdyby rządy uznać chciały prawo boże za podstawę wszelkich praw swoich. Od tego tylko zbawienie i przyszłość dzisiejszego społeczeństwa zawisła, inaczej krwawy sztandar socjalizmu powiewać nad Europą niezadługo będzie! Dla niego tylko pracują, Thiers, Bismark i ministrowie króla Galantuomo — na to, aby ostatecznie daleko sromotniej od ukoronowanego karbonara Napoleona III swoją karierę polityczną zakończyć raz mogli!

* * *

Rzym. Po wywłaszczeniu piękniejszych klasztorów w Rzymie, dzisiaj osmańście innych znajduje się znowu umieszczonych na liście proskrypcyjnej; tym sposobem da się wszystkie skasować i wobec Europy ulegalizować nowe świętokradztwa. Rada municypalna Rzymu, złożona jak wiadomo z ludzi, znanych ze swoich rewolucyjnych zasad, uchwaliła ostatniemi czasy wznieść pomnik na cześć rewolucji 1848 r. w Rzymie, w miejscu, gdzie miał być wzniesiony fundament pod obelisk, przeznaczony przez Ojca św. na pamiątkę ostatniego Soboru. Czerwoni coraz zuchwalej podnoszą swoje głosy przeciw obecnemu rządowi; murzyn zrobił swoje, teraz już niepotrzebny, pozbędą się go niezawodnie rychło. Natomiast Ojciec św. otaczany coraz żywszą miłością wiernych sobie Rzymian. Kościoły, jak to przyznaje sam żyd Arbib w *La Liberté*, dzisiaj bezporównania pełniejsze jak dawniejszemi czasy. Niepokoi to wielce sekciarzy do tyła, że ostatnią razą z okazji *Invito Sagro*, kardynała wikarego, wzywającego wiernych do odprawiania triduum na cześć N. P. Maryi 8. Września domagać się jęli po dziennikach, aby je rząd zakazał, dając za przyczynę, że wszystkie te nabożeństwa są protestem, przeciwko rządowi wymierzonym, co więcej, i głos dzwonów już ich razić poczyna; dzienniki mówią, że rząd dzwonić zakazać powinien. Przypominają zupełnie ci sekciarze najobrzydliwszy teroryzm mahometański, z czasów, kiedy chrześcianom na

Wschodzie dzwonic zabroniono. — Wiadomo, że w skutek zajść 23 z. m. między gwardyą narodową a rewolucjonistami, kilku z ostatnich raniono i jeden z nich nazwiskiem Ferrero umarł. Sprawiono mu tedy (*primo martyre!*) uroczysty pogrzeb, na którym ognisci mężowie czynu siarczyste nad grobem ucieli mowy. Rząd dostał po głowie, po tybinkach, napiętnowano go, przyznajmy, słusznie i należycie. Dzienniki niektóre zamieściły te mowy *in extenso*, w skutek tego *La Capitale*, *Diavolo Rosa* i *Don Pirlone* zostały skonfiskowane, żeby jednak ułagodzić oburzonych sekciarzy, wytoczył rząd i katolickim zaraz pismom proces.

* * *

Biskupi szwajcarscy przewodniczyli zebranemu stowarzyszeniu „Pius-Verein“ w Fryburgu. Dzienniki dają nam szczegółowe opisy tych posiedzeń. Jeden z mowców odparł czyniony katolikom przez antykatolicką prasę zarzut, jakoby pierwsi wywoływali wszędzie walkę; „nie, (mówił on) nigdy pierwsi nie rozpoczynamy boju, chcemy i pragniemy go uniknąć, ale wyzвани, podnosimy rzuconą nam rękawicę i stajemy ochoczo w szranki bronić godziwemi środkami, uświęconemi przez te same prawa, jakie nasi przeciwnicy ukuli, wolność sumień naszych“.

* * *

W Moguncyi stowarzyszenie katolików niemieckich odbyło walne swoje posiedzenie 10 b. m. Kanonik Muofang przydywał na niem — ks. biskup Kettler pierwszy zabrał głos, a po nim ks. Schorderet z Fryburga: „Ojczyzna, (mówił on) drogie i święte to imię jak drogą i świętą jest rzecz sama, a jednak, jeżeli Kościół pozbawianym jest w niej wolności, jeżeli zaprowadzone w niej prawa, nakładają pęta na wiarę — ojczyzna wczas staje się polem świętokradzkich gwałtów, tyranią sumienia — ziemią bólu i wygnania, przesładowań i męczeństwa — staje się Polską i Rzymem dzisiejszym! Wygnanie, nędza, śmierć sama, znośniejszą wczas od ojczyzny, w której niema wolności dla bożej prawdy, wolności dla Kościoła, wolności dla sumienia!“ Po kanoniku Schorderet zabierało głos wielu jeszcze mężów, pomiędzy którymi znajdujemy imiona najznakomitszych publicystów katolickich w Niemczech.

* * *

Jak wszyscy niemal księża biskupi, którzy nie byli obecni na sesji Watykańskiego Synodu dnia 18 lipca 1870 r., tak i ks. biskup Maret przesłał Ojcu świętemu zupełne i bez żadnych restrykcyi poddanie się orzeczeniom dogmatycznym św. Soboru. *Osservatore Romano*, dziennik niemal urzędowy dzisiaj Ojca świętego, podaje nam cały ten akt poddania się czcigodnego biskupa. Uczony prałat potępia w nim zarazem i dzieło swoje wydane przed samym otwarciem koncylium p. t. *Du Concile Général et de la Paix religieuse. — Le Pape et les évêques*. Nadto oświadcza, że jak najrychlej z handlu księgarskiego postara się to dzieło wycofać.

* * *

Z Paryża piszą nam z d. 11 b. m. Po tych obrzydliwościach francuzkich, tęskno mi niewypowiedzianie za krajem — o jakżeż drogą, jak pocziwają

jest jeszcze nasza biedna Polska, jak cnotliwy w niej lud nasz wiejski w porównaniu z Francuzami. Jeżeli śp. ks. Antoniewicz powiedział był kiedyś podobno, że „pół nieba chłopem polskim będzie zapelnione“, to o mieszczanach francuzkich śmiało dzisiaj powiedzieć mogę, że połowę piekła meszkańców, bodaj czy nie oni stanowią będą. Objawy bezbożności, niewiary, obrzydliwej dziś ukazują się tutaj uż za najbardziej niemoralnych czasów Napoleona III. Po obaleniu Komuny zdawało się czas jakiś, że się Francuzi upamiętają, że klęski nawrócą ich do Boga — gdzie tam! — dzisiaj gorzej jeszcze niż poprzednio, śnać niemasz już żadnego na ten lud lekarstwa. Wszyscy sensaci spodziewają się też nowej wkrótce socyalnej rewolucyi, straszliwszej tą razą od byłej Komuny. Na oko niby to spokój, ale umysły wzburzone. Na prowincyi formalnie żartują sobie z rozporządzeń rządu. Najobrzydliwsze karykatury z rąk do rąk kursują w miastach. Lada iskierka niech padnie, a ogień rewolucyjny wybuchnie płomieniem. Ja z moją odrobiną rozumu przewiduję dla Francyi straszliwe klęski.

L.

* * *

Przegląd Polski w ostatnim zeszycie znakomicie scharakteryzował ową parodyą, zwaną zjazdem polskim we Lwowie i to kolosalne, jak się wyraża p. Stanisław Koźmian, szaleństwo, rewindykacyi Szlązka, prowadzącej do wypowiedzenia wojny wszystkim trzem naraz mocarstwom. Nowiniarze niesłychanie oburzyli się na to. Narodówka, której redaktor zawsze staje pierwszy, gdzie idzie o ciągłe podtrzymywanie bezrozumnej i szkodliwej nieprzerwalności powstania, wyrzuciła cały zapas obelg, dostało się tam i nieodżałowanemu mężowi, Margrabiemu Wielopolskiemu. Smutna to rzecz, jeśli Polak nietylko przed szkodą, ale i po szkodzie nigdy nie może mieć rozumu. Ale niechajże sobie przynajmniej idzie w ką i nie ogłupia ludzi swemi narodowemi niby gryzmolami. Dostyc już klęsk moi liberalnego nastroju Panowie przynieśliście krajowi. Czy was już nic polskie nieszczęścia nie bolą? Wam sprawcom i mechanikom wszystkich jej nieszczęść, Wam potępiac drugich! Chcecie koniecznie usprawiedliwić słowa Bismarka, że naród nasz nigdy niczego nauczyć się i nigdy poprawić nie może? Wy .. patryoci?... Bez serc, bez wiary, śmierć i nieszczęście sięjący szaleńcy!

* * *

Najznakomitszy pan Kraszewski zaczyna z pod Strzechy bić mitraljelowemi strzałami w *Czas i Przeglądy*. Wszystko, co tylko złego stało się kiedy i stać się może jeszcze w Galicyi, Krakowie i Poznańskiem, temu wszystkiemu te trzy pisma winny. *Czas i Przeglądy* odpowiedzą ciężko przed Bogiem, że panu Kraszewskiemu kadziła palić nie chciały, że go uważały za dezorganizatora naszego społeczeństwa. *Czas i Przeglądy* winne, że on, pan Kraszewski, bił w Kościół, lżył Kościoła naukę, znieważał papieża, pisał ohydne rzeczy o Rzymie w swoim Tygodniu a dzisiaj do *Kraju*. *Czas i Przeglądy* winne, że pan Kraszewski w pisemku, czytane przez młode panienki (*Strzecha*) pisze kroniki zbitane z wycieczek przeciw poważnym pismom, Kościołowi i Jego instytucyom. *Czas i Przeglądy* wrzeszcz winny, że pan Kraszewski nie wiedział dotąd, że w Kopernika dziele słusznie zmienione zostały niektóre ustępy przez kongregacyę indeksu lat temu paręset. I chociaż wszyst-

kim historykom rzecz ta znana, pan Kraszewski o niej nic nie wiedział, aż dopiero p. Artur Wołyński i to pod sekretem objaśnić go raczył Oj! *Czasie*, oj! *Przeglądy*, ile to złego z waszej stało się przyczyny. Najznakomitszy (tytuł dany przez K r a j) z pośród wszystkich znakomości pan Kraszewski i dzisiaj jeszcze z pod „Strzechy“ pana Richtera takie ręce przez was puszczać przymuszony. (*Strzecha za miesiąc Wrzesień r. b. Kronika*)

* * *

Gazeta Literacka sądziliśmy że już przestanie wychodzić — tymczasem p. redaktor zapewnia nas w *Gaz. Narod.* że nadal wychodzić będzie. Obecnie jest tylko na urlopie, odpoczywa, aby nowych sił do wertowania Platona nabrać biedna mogła!

* * *

Na zamieszczony przez nas w XVI poszytcie „Przeglądu“ artykuł o D-rze Libelcie i jego Nawodziskach — powiada „*Tygodnik Wielkopolski*“ (Nr 35) że go prowokujemy do prowadzenia z nami polemiki, że pismo nasze walczy bronią jaką on się *brzydzi* i z tego to niby powodu wstrzymuje się od oceny naszej rozprawy, która w niczem (!) nie wyświeca przedmiotu spornego. — Brak miejsca niepozwoił nam przesłać razą odpowiedzieć na te śliczniuchne madrygały. „*Tygodnik Katolicki*“ (Numer 34), wyręczył nas tutaj i dał krótką, węzłowatą, ale należytą odprawę¹⁾. Rzuca się na nią gniewliwie „*Tygodnik Wielkopolski*“ (w numerze 37) jak przewidzieć to można było, i uroczyście zapewnia, że z *zasady polemizować niezwykły*, dla tego, że się niesłychanie *brzydzi polemiką* (sic). — Wielcy ludzie zawsze kierują się zasadami. — Pp. redaktorom „*Tygodnika Wielkopol.*“ przyśniło się, że są takimi — należało więc wystąpić z jakąś zasadą — oświadczyć przeto, że trzymają się zasady nieodpowiadania tym co im wykażą ich nonsensa i głęboką nieznanomość przedmiotu o jakim tylko co rozprawiali z ognistą werwą. — Co to za śliczna a jaka wygodna zasada! — okraszona do tego bombastycznym wyrażeniem się „*brzydzymy*

¹⁾ W obec takiego żakowstwa, boć inaczej tego nie możemy nazwać, nie podobna nam milczeć. Kto czytał rozprawę Stef. Pawlickiego, wie kto ma rację. Dr. Libelt odpowiedział w trzech numerach „*Tygodnika Wielkopolskiego*.“ Pisał o wszystkich rzeczach na niebie i ziemi, tylko nie o właściwej materji. Poruszył władzę papieżką, Niepokalane Poczucie, „nowy dogmat nieomylności“ — przytaczał facecye i toasta różne, wznoszone na cześć jego, jako obrońcy kościoła, podał nomenklaturę nauk wszelkich — o nawodziskach tylko nie zgoła. Była to sobie *garrula* lub *delira senectus* — nic więcej. Tyle przynajmniej dobrego w tych korowodach, że Dr. Libelt przyznał się do nieuctwa, do nieznanomości tej właśnie rzeczy, o której przed tem tak niby uczenie pisał.

To nasze zdanie o Dr. Libelcie.

Natomiast „*Przegląd Lwowski*“ najspokojniej w świecie, bez gorączki, bez złości mówi o artykule D-ra Libelta i przytacza piękną naukową rozprawę: o nawodziskach ks. Nowodworskiego z „*Przeglądu katolickiego*“ w Warszawie.

Taka jest prawda.

Teraz prosimy osądzić postępowanie „*Tygodnika Wielkopolskiego*“: On się *brzydzi!* Brzmi to niby z pańska, ale to przecież żakowstwo.

się polemikę“ z ultramontanami! Ile to, i jakiego uroku dodać może pp. Albino-
wi Khun, Callierowi, Ordonowi *e tutti quanti* z Tygodnika Wielkopolskiego. —
W jednej chwili w oczach sentymentalnie uczonych a biednych czytelniczek tego
pisma, wyrosną oni na ludzi i to jakich ludzi! — brylujących wykwiłtnem, salono-
wem wychowaniem, pełnych gracyi, estetycznego uczucia — a nadewszystko
uczonych, wielce uczonych mężów! Już dzisiaj nawet, w skutek rządzenia
się tego rodzaju zasadą, panowie redaktorowie „Tygodnika Wielkopolskiego“
rosną, rosną aż wyrosli *ex sutoribus medici!* Nie mamy więc za złe „Tygo-
dnikowi Wielkopolskiemu, że obok predylekcyi swojej do chińszczyzny i tę od
bonzów chińskich przyjął zasadę. My wiemy, że prawić koszałki opałki daleko
łatwiej, ale odpowiadać na krytykę, przechodzi to może zakres straszliwie głę-
bokiej uczoneści pp. redaktorów „Tygodnika Wielkopolskiego“. I dla tego raz na
zawsze zwalniamy ich od tego kłopotu. Nic nam to nieszkodzi że Tyg. W. brzy-
dząc się niby polemiką, będzie sobie milczał, a my podnosić będziemy wszystkie
jego brednie o bezdennej nauce jego redaktorów świadczące — prosimy go tyl-
ko aby niechciał znowuż nazwać to prowokacją. — Pan Albin może się brzy-
dzić, pan Callier detto a „Tygodnik Wielkopolski“ składać dowody, że na kry-
tykę odpowiadać... nie umie!

* * *

Dr. Laforet a Dr. Zgórski. — Ktoś tam w pamfliciku powiedział był
o nas, że się odznaczamy piramidalną wiedzą — żadną jednak miarą nie może-
my zgodzić się, aby ten szumny tytuł mógł się nam należeć i dla tego uprasza-
my uprzejmie przezacnego pamfliciarza aby wyrażenie to na seryo miłościwie
zastosować zechciał do Dra Zgórskiego — wszystkie dowody kwalifikujące go
na męża piramidalnej nauki już on złożył, prawda, że bodaj czy nie tego roku
rzuciono na niego potwarz, jakoby miał utrzymywać, że Augustyn Ś-ty dał
pierwszy początek tej szkaradnej metodzie scholastycznej — ale jak wszelka
potwarz nie może dotknąć spotwarzzonego, tak i ta nie mogła osiągnąć szan.
Dra. — Zresztą jeśli była o tem mowa, to na prelekyach ratuszowych a wiado-
mo, że dziwolągi wypowiadać można tam było bezkarnie. — Bądź co bądź
pan Doktor Zgórski to mąż niedoścignionej nauki Osiwiał już nad książką —
nic więc dziwnego, że biednego księdza Doktora Laforeta, Rektora Lowań-
skiego tak skrytykował i zmiętosił formalnie, że ten oczu na świat nie
będzie mógł więcej już pokazać. Dr. Laforet w obec Dra Zgórskiego „to słaby
i bez kwalifikacyi (naturalnie nieskończył wiedeńskiego uniwersytetu!) *historyk.*“
Metoda Doktora Laforeta *doktrynerska*, gorzej jeszcze, *sekiarska!* — *bierze*
przedmiot jednostronnie (Dr. Zgórski, to mąż wszechstronny, bystry, genialny,
dowodem Ś-ty Augustyn, którego zrobił scholastykiem!) *aby go sponiewierać!*
Cała literatura ultramontanska (o zgrozo!) *używa tej metody!* (Hm! np. które
też dzieła?). Gniewa się i to słusznie Dr. Zgórski na D-ra Laforeta, że ten
nazywa naukę Men-dżego fałszywą dla tego tylko, że jest podobną do nauki J.
J. Rousseau. (Dla D-ra Zgórskiego wszystko będzie prawdą — wszystko da się
z sobą pogodzić, buddyzm z Ewangelją! — Co to za mądrość!?) Oskarża Lafa-
ret'a o niechęć do filozofii! (*risum teneatis* — Dr. Zgórski widocznie nie zna
dzieł filozoficznych uczonego Rektora Lowańskiego Uniwersytetu) i t. d. Tak
wytrzepawszy porządnie jak jakiego studencika D-ra Laforet'a daje mu wreszcie

uczony Dr. Zgórski na bibule zwanej *Gazetą Narod.* najwyższe swoje pozwolenie, aby jego dzieło „Dzieje filozofii starożytnej“ mogło być kupowane! (sic). („*Gazeta Narodowa*“ Nr. 276 z 7 września. — *Literatura*).

*
*
*

— *O starożytności człowieka.* Podróżując po rozmaitych krajach dla wykrycia źródeł, znany w świecie ksiądz Richard, zajmuje się zarazem i kwestyami naukowymi, jakie odnoszą się do starożytności człowieka. Odnalazł on już znaczną liczbę pracowni, o których wiele prawią naturaliści, a w których wyrabiano narzędzia z krzemienia, i przesłał ostatniemi czasy Towarzystwu postępu naukowego w Edimburgu sprawozdanie o swoich, w tym rodzaju, nowych odkryciach.

Podajemy o tem wyjątek z angielskich dzienników. Sekcja biologiczna, (posiedzenie 5. sierpnia 1871).

Panowie!

Mogę wam pokazać narzędzia z kamienia w czasie mojej ostatniej na wschód wycieczki odnalezione:

1. W Egipcie, w pobliżu Kairu na drodze do skamieniałego lasu.

Ostrza tych narzędzi z kruchego kamienia, dość znacznych rozmiarów, są przez czas zużyte i stępione.

2. Jedna sztuka pochodzi z wyspy Elefantyny; kształt jej zupełnie różny od innych, jest przedziurawioną. Zdawałoby się, że jest z żelaza, jest to jednak syenit, właściwy tej okolicy. Jakież może być jej przeznaczenie.

3. U stóp biblijnego Sinai, mówił ks. Richard, znalazłem największą pracownię krzemienia, jaką kiedykolwiek widziałem, z zadziwiającemi próbkami narzędzi, zwłaszcza z nadzwyczajnie cienkimi końcami. Najpiękniejsza z tych strzał znalezioną była w Onydi-Teran, w samym środku góry Sinai.

4. Kilka narzędzi znaleziono w Palestynie, w Elbirch, w Tiberyadzie i między górą Ihabor a jeziorem Tyberyadzkiem; zwłaszcza też na wyżynie wzniesionej na 250 metrów nad Jordanem. Wśród uprawnego pola znaleziono siekerę co do natury i formy podobną do znajdujących się w Somme. (Francya). Ale narzędzia, które, jak sądzę, zasługują na największą uwagę, są te, jakie znalazłem nad brzegami Jordanu, w Galgal, w miejscu, gdzie według Biblii Jozue otrzymał od Boga rozkaz spisania narodu Izraelskiego i w grobowcu uważanym przez naukę archeologii za grób Jozuego. Znalazłem te narzędzia tak w samym grobie Jozuego, w grobowej wewnętrznej komnacie, jak równie na wschodach, gdzie się znajdowały zmieszane z rozmaitemi szczątkami naczyń. Znalazłem je także na polu rozciągającym się przed grobowcem, pod wielkim dębem, oddalonym od grobu Jozuego na jakie 70—100 metrów; musiały być one tak wysypane wówczas, gdy przetrząsano niegdyś i profanowano grobowiec. Forma zwana pospolicie nożem, przeważa w tych narzędziach, niektóre z nich, jak się można o tem przekonać, są jeszcze bardzo ostre. Znajdują się także piły i sztuki płaskie, długie i okrągłe; są one pospolicie z krzemienia; lecz są także z białawego wapna, które, zdaje się, było przepalane w ogniu.

Mam nadzieję, mówił dalej ks. Richard, że te narzędzia z grobowca Jozuego i te, o których poprzednio wspomniałem, zajmą uwagę tak licznych

i oświeconych zwolenników archeologii ludzkiej, których Stowarzyszenie liczy w swoim łonie; a poddając je waszemu Panowie oszacowaniu, przynoszę wam więc nie *à priori* powzięte idee, nie systemat żaden, ani nawet teorye, lecz fakta proste, archeologiczne i historyczne fakta. Faktem historycznym jest, wyrabianie nożów kamiennych, (służących do obrzędu obrzezania dzieci Izraelskich) w Galgal nie daleko brzegów Jordanu. Faktem jest, że grobowiec Jozuego, wzniesiony niedaleko Sichem, a długo zapomniany lub zatracony, odnaleziony został, i że szczątki jego widziane były i opisane przez pp. de Saulcy, Guérin itd. Faktem jest historycznym, stwierdzonym przez autentyczny przekład siedmdziesiącia tłumaczy Starego Zakonu, że pewna liczba nożów kamiennych z Galgal była wrzucona w grób Jozuego w czasie jego pogrzebu

P. de Saulcy w swojej podróży po Palestynie, absolutnie wierząc księgom świętym, nie wahał się powiedzieć, że te noże kamienne istnieją jeszcze w odnalezionym grobowcu Jozuego. Ksiądz Moigno, mój przyjaciel, w dzienniku swoim *Les Mondes*, przypomniał twierdzenia p. de Saulcy.

Co się tyczy wniosków, jakie wyprowadzić można z narzędzi moich, argumentów, jakie one przynieść mogą, lub też zarzutów, które mogą dostarczyć przeciw teoryom, przedstawianym przez pewne nowoczesne antropologiczne i biologiczne szkoły, zostawiam je na stronie.

Jeżeli moje historyczne krzemienie podobne są tak dalece, że się pomylić nie podobna, naturą swoją i formą do krzemieni, któreby chciano rzeczywiście za przedhistoryczne uważać, mógłbym żałować tych illuzyi, jakie wobec tej o niepodobieństwa upaść muszą, lecz prawdziwa nauka powinna przyjmować fakta i uznać identyczność przedhistorycznych i historycznych krzemieni. Jeżeli odkryłem coś takiego, co jest w sprzeczności z istniejącymi już teoryami i przekonaniem, to w każdym razie nie moja w tem wina, (oklaski i wesołość) trzeba się będzie zgodzić i odstąpić od decyzy nadto pośpiesznych.

W ogóle, Panowie, jeżeli narzędzia znalezione przezemnie i wam przedstawione sprzeciwają się sądom i wnioskom naszych szanownych kolegów w tem Towarzystwie, proszę ich o przebaczenie, ale stare przysłowie powiada: „Najbardziej nieubłaganemi są fakta“! (Oklaski).

ŚWIĘTOPIETRZE

PIOTROWI ŻYJĄCEMU W PIUSIE IX, BOŻEMU RYBITWIE

OD JEDNOŚCI Z KTORYM POLSKI PRZYSZŁOŚĆ CAŁA

złożyli na nowo w Redakcyi:

Ks. Semenetz, proboszcz z Belza zlr. 10

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: X. Edward Podolski.

W NASTĘPNYCH ZESZYTACH

pomiędzy innymi zamieszczać będziemy:

1. Cudowne miejsca w Polsce. (artystyczno-literacko-historyczne).
 2. Dziennik Poznański i Ultramontanie polscy. (ciąg dalszy).
 3. Portrety pośmiertne przez hr. Z. L. D. — II. X. Biskup Łętowski.
 4. Lamartine, jego życie, dzieła wpływ, na społeczeństwo, przez p. Adama Krechowickiego.
 5. J. Maksymilian Fredro, jego życie, dzieła etc. napisał Dr. Skrzydyłka.
 6. Poeci. — Wieszczę. — Dante i Mickiewicz. przez X. Jachimowskiego
 7. Gawędy o antropologii (ciąg dalszy).
 8. Bezkrólewie pod Batorym na 2 nieznanach dokumentach osnute. X. Polkowski.
 9. O metodzie scholastycznej, jej geneza, rozwijanie się i dojrzałość. (c. d.)
X. kan. Zygmunt Golian.
 10. Historia synodów w Polsce, przez hr. M. Dzieduszyckiego.
 11. O J. Leopolicie — X. I. Polkowski.
 12. Postępy Zoologii.
 13. Buchner — siła i materya, przez b. profesora b. szkoły głównej w Warszawie.
 14. Ciemnota wieków średnich — scholastyka, artyści, poeci, uczeni, uniwersyteta.
 15. Nowe odkrycia w środkowej Afryce (ciąg dalszy).
 16. Rzym i Londyn.
 17. Studium bibliograficzno-historyczne o wszystkich peryodycznych pismach w języku polskim, wydawanych w wieku przeszłym. X. Ign. Polkowski.
 18. Trzecie wydanie żywotów ŚŚ. Skargi. przez **.
 19. Dante Beatrycza i Wirgiliusz.
 20. O architekturze. Przez **.
 21. Tygodnik Wielkopolski — jego redaktorowie — ich wiedza — ich prace i szerzone przez nich zasady.
 22. Prelekcyje historii kościelnej na Uniwersytecie Lwowskim.
 23. Nieszczęśliwi. (Ciąg dalszy).
-

Przegląd Lwowski

wychodzi dnia 1. i 15. każdego miesiąca
objętości 3½ do 4 arkuszy druku.

Przedpłata wynosi: w Galicyi ćwierćrocznie zlr. 2; półrocznie zlr. 4
rocznie zlr. 8.

W Prusach, Rzeszy Niemieckiej i Wielkopolsce: ćwierćrocznie talarów 1½; półrocznie tal. 3; rocznie tal. 6.

We Francyi, Belgii, Włoszech i Szwajcaryi: ćwierćrocznie franków 7; półrocznie fr. 14; rocznie fr. 28.

Przyjmują także prenumeratę we Lwowie: Agencya „Czasu” u p. Piątkowskiego, plac katedralny; księgarnie pp. Sayfartha i Czajkowskiego, oraz pp. Schmidta i Gubrynowicza; — w Krakowie księgarnie p. Jaworskiego p. Krzyżanowskiego; — w Poznaniu w księgarni p. Tytusa Daszkiewicza; — w Prusach w Ostrowie u p. Priebatsch'a; — w Paryżu rue de la Trinité 3. chez Mons. l'Abbé Léo Postawka.

U waga: Dla uniknienia opóźnień w przesyłce prosimy prenumeratę najlepiej nadsyłać wprost do Administracyi Przeglądu Lwowskiego w kamienicy kapitulnej l. 24.

Od Redakcyi.

Z zeszytem niniejszym kończymy trzeci kwartał wydawnictwa naszego pisma; przypominamy się przeto Szan. Czytelnikom naszym, aby z prenumeratą na kwartał przyszły wprost do Administracyi Przeglądu zgłaszać się zechcieli.

U wielu bardzo należy nam się prenumerata za kwartały ubiegłe upraszamy uprzejmie o nadesłanie nam zaległości. — Przy tej sposobności szczęśliwi jesteśmy, że możemy upewnić czytelników naszych iż Przegląd Lwowski ma dla siebie przyszłość zapewnioną. — Rozpoczynając wydawnictwo mieliśmy zaledwie dwustu prenumeratorów — liczba ich, mimo podnoszonych na pismo nasze krzyków przez lwowski dziennikarstwo, wzrastała. — Dzisiaj mamy ich 537. — Możemy więc w imię Boże rozwijać się nadal i walczyć odważnie, bo już o przyszłość naszą jesteśmy spokojni.

Nakładem Wydawnictwa Przeglądu Lwowskiego
wyszła

PAMIĄTKA

25letniej rocznicy wstąpienia na Stolicę Apostolską

P O J C A Ś W. P I U S A I X.

Dostać ją można w Administracyi Przeglądu:

Cena egzemplarza na papierze holenderskim	2 zł. —
na papierze listowym	1 „ 50
na papierze zwykłym	1 „ —

